

Brancewicz_Józef_AW_I-0139

Brancewicz_Józef_I-0139-1-A [00:00:00]

Józef Brancewicz: Ja powiem to w formie... życiorysu.

SS: Tak.

JB: Proszę Pana, urodziłem się w 1913 roku. Nazywam się Józef Brancewicz. Urodziłem się na Wileńszczyźnie w miejscowości Pankiszki Folwark.

SS: Dokładnie, kiedy się Pan urodził?

JB: 12 sierpnia 1913 roku. Skończyłem 6 klas tylko gimnazjum. Służyłem w 19 pułku. Ojciec miał dosyć duże gospodarstwo na Wileńszczyźnie, ale nie tam. W ojcowiznie u ojca to znaczy jakieś 7 kilometrów. Ojciec mieszkał w Stanuliszkach, 7 kilometrów. On kupił w 1913 roku od generała Szynkowskiego ten, taki mająteczek stał, 40 hektarów. A ja mieszkałem na ojcowiznie, 40 hektarów. No i oczywiście po przyjeździe potem pracowałem na roli. Potem w sierpniu, ja będę się skrócał, bo ta cała historia to będzie trwała ze 2... w sierpniu zostałem powołany w 1939 roku do rezerwy do 33 dywizjonu. Wobec tego, że ja w artylerii służyłem i ten... 33 to jest dywizjon artylerii lekkiej i on stacjonował w koszarach (*niezrozumiale*) tuż za zielonym mostem, Pan to Wilna chyba bardzo nie zna, bo ja się uczyłem to ja Wilno bardzo dobrze znam i teraz często odwiedzam, szczególnie Matkę Boską Ostrobramską odwiedzam, która mnie uratowała w opresji. No i zostałem powołany na ćwiczenia w sierpniu i oczywiście wojna wybuchła we wrześniu, już do domu nie wróciłem i nasz pułk, dywizjon, właściwie przekształcił się może w pułk tej organizacji wojskowej, to nie pamiętam, ale nasz pułk wyjechał tutaj na Białystok, daty to już nie pamiętam, który - ale tam było chyba w początkach września, przyjechaliśmy do Białegostoku, wyładowaliśmy się cały transport, jeszcze tam moja siostra mieszkała w Białymstoku to skontaktowałem się, dostałem paczkę i potem na pieszo do Białej Podlaski. W Białej Podlaskiej to znaczy baterie, wie Pan, łączność, cały dywizjon, to jest sporo wojska i potem w Białej Podlaskiej załadowaliśmy się, przyjechaliśmy do Warszawy, w Warszawie przenocowaliśmy i zawrócili nas do Lwowa. I cały czas jechaliśmy do Lwowa. Na przedmieściach już nie Lwowa, ale w Kownie zbombardowali nasz transport już Niemcy i kiedy przyjechaliśmy do Lwowa to nie dojechaliśmy, nie pamiętam, jakiś przystanek przed Lwowem wyładowali nas, tylko działa ustawiliśmy, bo Niemcy już zamkówkę zajęli. I roгатki Lwowa. I poszliśmy od razu, nasz dywizjon, oczywiście tam i piechota była i z piechotą poszliśmy na bagnety, po prostu artyleria zaczęła ostrzeliwać zamkówkę i Niemca wyparliśmy. Ja tak w skrócie mówię. I potem cały 2 tygodnie walczyliśmy z Niemcami. Niemców

wyparliśmy na południe. Mam to opisane tam szczegółowo, Panu przeczytam, ale tak z pamięci, więc Niemca wyparliśmy na południe zachodnie wzgórze, pamiętam 138 osiem kota, on tam zainstalował front i atakował nasze pozycje. Oczywiście zawsze odparte jego ataki, dlatego że to już wycofująca się armia polska z zachodu miała silne zgrupowanie

[1-A, 00:05:00]

we Lwowie artylerii i wszystkie ataki niemieckie zostały odparte, a jeszcze w dodatku mieliśmy tak zwane takie działka pieski przeciwpancerne, które bardzo aktywnie działały i niszczyły, zapalały sowieckie, niemieckie czołgi. No i on pomimo tego obstrzeliwał ciężko artylerię Lwów, bezprzykładnie. Poza tym tam, no to już szczegółowiej opowiadać to był taki system na froncie, że 3 dni na froncie, 3 dni w odwodzie. Ja kiedyś swego czasu jak wycofałem się, ja dowodziłem taką drużyną 2 baterii 33 dywizjonu łączności, więc moim zadaniem było zainstalować łączność i radiową, i telefoniczną na punkt obserwacyjny, na punkt... usunięty, no i potem 3 dni w odwodzie. I dziwnym zbiegiem okoliczności będąc na stanowisku baterii kiedyś, bo przeważnie byłem na wysuniętym punkcie dowódcą baterii, Pan, jeżeli się orientuje Pan w wojsku, że bateria, dowódca baterii jest na punkcie obserwacyjnym i on kieruje ogniem. Te baterie po prostu ogniowe. Spotkałem się ze swoim kolegą z dziecinnych lat, który był oficerem, Mackiewicz Witold. I przypadkowo spotkaliśmy się, ja byłem na stanowisko baterii, on wracał do oddziału, był zorganizowany tak zwany Batalion Dzieci Lwowskich imieniem i on dowodził, i on wracał. I spotkałem tego Mackiewicza Witolda to my przyjaźniliśmy się, rodzice przyjaźnili się, potem myśmy się przyjaźnili, on skończył gimnazjum w Świądźdianach, potem poszedł na studia do Warszawy, skończył Politechnikę i był oficerem w stopniu porucznika. I myśmy się spotkali z nim, pamiętam jak dzisiaj i potem właśnie ten mój kolega ze Lwowa został, to już bardzo szeroko opowiem o tym jak oni... segregowali oficerów, jak oni wybierali oficerów, między innymi Witek Mackiewicz trafił, ale to już wróć jeszcze do tego. No i oczywiście do odwodu jak mówię, 3 dni do odwodu, więc ja przyjeżdżam ze swoją baterią, tam miałem radiostację nadawczą, w sumie 15 osób, parę koni, bo to było konne Panie, więc na odwód do miasta gdzieś. No i zajeżdżam do jednej bramy, a ludność wszystko było w schronach, częściowo ewakuowało się, bo Niemcy bez... stale noc i dzień atakowali miasto, więc co zajeżdżam, zajeżdżamy do tej bramy, stoi tam jakiś kierownik schronu, ale ja patrzę, Żydek. I z czerwono – białą opaską i on taki bardzo mówi, dla wojska, tutaj, dlaczego nie ma miejsca, wie Pan jak to Żyd, ja mówię: *Bez gadania*, a nam chodziło, że na podwórku były te drzewa, że można tam było zamaskować wszystko, bo lotnictwo niemieckie od czasu do czasu

bombardowało i obserwowało nas, więc wjechałem tam Panie bez pardonu i był taki rozkaz, że Ukraińcy popierali Niemców i byli szpiegdy ukraińskie i oni donosili o ruchach naszych wojsk, więc przede wszystkim trzeba było zlustrować strychy, więc ja mówię: *Niech Pan prowadzi do schronu*. On przyprowadził to mówi: *Tu jest dużo*. Ja mówię: *Ile Żydów?* On mówi: *Okolo 300 osób*. Ogromny gmach i ja wchodzę tam, po lewej stronie kobiety, po prawej mężczyźni i to modlą się, wie Pan takim śpiewającym głosem. Kobiety tak rozczochrane, to taki obrazek był przejmujący. Ja mówię: *Co to jest?* On mówi: *Proszę Pana, to jest zarządzenie rabinów główne, że my mamy 3 dni pościć i modlić się, i my to właśnie robimy, żeby Niemcy*

[1-A, 00:10:00]

do Lwowa nie wstąpili. No ja oczywiście nie chciałem uczcić tego i naruszyć im tego takiego mitycznego nastroju i wyszedłem tam. No i potem wróciliśmy na frontie, ale będę się skrócał, nie będę tego. Jestem na punkcie obserwacyjnym, raptem świt, a my punkt obserwacyjny, wysunięty raczej byłem na punkcie obserwacyjnym i w kukurydzy taki był zamaskowany, artyleria przestają strzelać niemiecka, spokój, cisza, świt. Ale po pewnym czasie eskadra samolotów ukazała się na nasze pozycje w kierunku, a było jeszcze, jakie głupie zarządzenie u nas na froncie, że nie można było strzelić do samolotu, dlatego że podobno tysiąc alianckich samolotów przychodzi na pomoc nam. A żaden samolot, więc dowódca dywizjonu musiał wydać rozkaz, aby strzelić do samolotów, więc ja dzwonię do dowódcy baterii oczywiście, nie do dywizjonu, mówię, że jakaś eskadra zbliża się samolotów. Ale mówię uspokoiło się, cisza. Niemcy przestali strzelać. Cisza, tylko te samoloty na nasze pozycje ukazały się. Ja lornetką sprawdzam, już świt to już można było odróżnić. Gwiazdy czerwone. Więc my zaskoczeni, to było koło 21 chyba już września, a my nic nie wiedzieliśmy o tym, że oni przekroczyli 17 września. I zrobili krąg i dowódca baterii dzwoni, mówi: *Wracajcie jak tam nie strzelają*. Nic. I ulotki. Aż biała ziemia była. I poszła ta eskadra. Ja wycofałem się tej kukurydzy i wziąłem ulotkę. Po rosyjsku. Ani be, ani me nie umiem po rosyjsku, ale tam były drużyny, tam z Wilna był taki Białorus to on mówi: *Ja trochę umiem*. No i pamiętam jak dziś on przeczytał tą ulotkę, mnie oczywiście utrwaliło się w pamięci, że towarzysz, po rusku to powiem, bo to było w języku rosyjskim, *nie prelewajcie kropel kapitalistycznych ustroju, bracajcie różje i przechodźcie na naszą stronę*. Podpisał się general lieutenant waszego frontu Timaszenko. O, to pamiętam jak dziś. No i już jak się dowódca dowiedział wszystko, raptem rozkaz ściągamy zachodnie, bo nasze były na peryferiach Lwowa, bateria zamaskowana oczywiście, ściągając Panie. Baterie na wschodni front. No i my i łączność, i wszystko przyjechaliliśmy cały Lwow,

Wyczechowską ulicą na wschodni front, a tam na wschodni 7 kilometrów czy 8 kilometrów od Winik, Winik mówię, od Lwowa, miasteczko Winniki, jest takie dosyć spore miasteczko ukraińskie, więc my nie doszliśmy jeszcze do tych Winników, pamiętam jak dziś, dowódca baterii był Kwiatkowski, rezerwista, profesor, mówi do mnie: *Brancewicz podejdźcie, sprawdźcie*, mówi: *W jaszczach ile mamy amunicji, bo wybraliśmy się na Związek Radziecki*. A my już wystrzelaliśmy tą amunicję, nie pamiętam w tej chwili, ja tam... bo ja szedł zawsze w tyle, więc ja się wycofałem tam, sprawdziłem, już nie pamiętam, w każdym bądź razie bardzo mało, melduję jemu, a on mówi: *O kochany*, mówi: *To my wybraliśmy się z taką amunicją na tego*. Doszliśmy do tych Winnik, nie doszliśmy, zainstalowaliśmy baterię, piechota poszła w pierwszej linii, były meldunki takie, że Panie, spotkali pierwszy opór Sowietów, czołgi, oni wystawili kilkaset czołgów, no i tak postaliśmy i nie rozpoczęliśmy żadnej walki i wycofywaliśmy się, a to już

[1-A, 00:15:00]

wycofujemy się do Lwowa, a to auta, wojskowi, przeważnie generalicja ucieka w kierunku Rumunii. I myśmy przyjechali Wyczechowską, nie pamiętam, jaki plac, kościół i przepadł i dowódca, i wszystko. Dezorganizacja, rzucają wszyscy ubranie, rozbijają kasy, taka sytuacja bezprawia. Poza tym były takie zapory we Lwowie postawione na ewentualne wejście Niemców, zapory przeciwczołgowe to znaczy siedemdziesiątki piątki i rowy pokopane, takie zapory, więc niektórzy, tylko podoficerowie zostali. Ja już nie mam żadnego dowódcy, co zrobić? Nie wiem sam. Koniem podjeżdżam tam, na jakiej ulicy wciąż, ja zapomniałem, było gimnazjum, tam mieściło się dowództwo. Ja podjeżdżam, widzę taki obrazek, oficerowie zrzucają dystykje i pakują się do aut, a tam podchodzi taki patrol w hełmie, warszawiacy z piechoty i mówi: *Panowie, sprzedaliście Polskę. Wylazić, do ostatniej kropli krwi walczyć*. Panie, wie Pan do tych oficerów, którzy uciekali. No i oczywiście ci oficerowie zaczęli się usprawiedliwiać. Ja wracam, wpada jakiś ułan na ten plac, a to już dużo wojska i krzyczy: *Panowie, Sowietci na Wyczechowskiej, już czołgi sowieckie*. Co robić? To wie Pan, w regłami nie wojskowym jest taka zasada, że jak wróg zbliża się to niszczyć broń, to przede wszystkim. Rozkaz dałem już własny, zniszczyliśmy aparaty telefoniczne o sztachety, te żelazne, radiostację i tu pierwszy czołg sowiecki wjechał. I zaczął. A jakiś na kościele, na wieży zainstalował karabin maszynowy, żeby już tu dodać, choć taki ujemny czynnik, że rozbili tam był najslawniejszy browar na całą Polskę, Baczewskiego. Słynne wyroby były na całą Polskę. No i Baczewskiego ten browar to już sobie podoficerowie podpili to tam, kto wziął, zaczął z

karabinu maszynowego walić, to oni jak zaczęli rozbierać z czołgów te wieże i tu po nas okrążyli, musi 10 czołgów ten plac, otworzyła się kłapa, wyszedł, oni mieli przedtem kubiki, nie orientowałem się, jaki to stopień oficera, bo oni naramienników nie mieli, tylko mieli te kubiki takie, oznaczenie wojskowe. No i mówią, mówi: *Towarysz, braccajcie się, różnie i wycofujcie się na wastok Wyczechowską ulicą*. I tam my będziemy, porozmawiamy, tam jest główne dowództwo i porozmawiamy. No i oczywiście idziemy, już rzuciliśmy broń, wszystko i to tysiące żołnierzy wycofuje się. Wyczechowska ulica we Lwowie to jest bardzo długa, a to już szpalery wojskowe sowieckie, już bagnetami z jednej strony stoją i z drugiej strony, a jeszcze nadmienić muszę wie Pan, taką charakterystyczną wdzięczność tych Lwowianek. Jak myśmy wkroczyli już jak wyparliśmy Niemców, wkraczaliśmy do Lwowa to one nas spotykały, kwiaty, cukierki, częstowały. Pańsztabaczki przeważnie takie z gimnazjum, młode dziewczynki, a teraz jak wycofywaliśmy się już, walecznych tysiąc opuszcza Lwów tam jak Warszawę, bez broni to te dziewczynki też papierosy koło siebie, względnie nikt nie wziął, tylko kilka wypadków było, że oficerowie sobie w łeb strzelili. I my wycofujemy się i dziwnym trafem okoliczności spotykam ja... 3 balon telegraficzny, który kiedyś był na szkole tam, i swego znajomego i nawet sąsiada

[1-A, 00:20:00]

i my we dwójkę z nim. Idziemy. Wycofujemy się, a tam po lewej stronie już idąc w kierunku wschodnim jest gimnazjum, już nie pamiętam, na Wyczechowskiej. Ja patrzę, a ten Witek Mackiewicz stoi tam w koniach, tylko oficer z sekcji to od razu chodzą między żołnierzami i wybierają i do tej szkoły. Patrzę Witek stoi, więc ja taki zdziwiony wchodzę, chcę przejść przez tą linię, do tego rama mówię: *Chodź*, mówi Witek. A ten: *dry się dawaj nazad*. Ja mówię: *Mój brat tam*. No to puścił wie Pan, miał jakieś serce. Ja podchodzę do Witka, całuję się, mówię: *Witek, rzucaj te szlify. My sobie wystaramy się mieszkanie, może ubranie, może uda się Tobie ucieczka*. On tak pomyślał, pomyślał, potem mówi: *Józek nie, zostaję*. Ja mówię: *Dlaczego? Ty wierzysz im?* A ja byłem uprzedzony do Związku Radzieckiego, dlatego że przed wojną jeszcze słuchaliśmy radia i w Wilnie był taki pamiętam redaktor Seroka i on miał audycję i nadawał o tych rozmaitych wyczynach sowieckich za Stalina jak była kolektywizacja przymusowa na Ukrainie, jak ludzie umierali z głodu, jak ludożerstwo było i w ogóle, wie Pan opowiadał to ja byłem uprzedzony do Związku Radzieckiego. Poza tym pamiętam jeszcze 1920 rok, chcieli ojca mego rozstrzelać i to już potem na marginesie kiedyś Panu powiem, bo jak oni poszli pod Warszawę ja już miałem 7 lat, ja bardzo, już pamiętam. To poszli pod Warszawę to z tyłu

zwyczajka Dzierżyńskiego chodziła i natychmiast i rozstrzeliwała. Przychodzą do mieszkania, taki sąd, trybunał niby wojskowy i zaraz rozstrzeliwują, więc ja też byłem uprzedzony to ja mówię do niego, on mówi: *Nie, wiesz tu już mój dowódca*, mówi: *pulku, dowódca brygady*, mówi: *poza tym*, mówi: *konwencja międzynarodowa istnieje i oni w stosunku do jeńców zastosują*. A teraz dopiero ja dowiedziałem się, że żadnej konwencji Sowietów nie podpisali, a wtedy byli oficerowie pewni, że tego podpiszą. I on pozostał, ja myślę, teraz może mnie zatrzymają i ten ram razem ze mną, ale ja wie Pan, na froncie u nas było zarządzenie, że jak podoficer trafi do niewoli niemieckiej to represje straszne stosują, więc my bez dystykcji byliśmy, jako szeregowi, pomimo tego, że ja dowodziłem, byłem dowódcą drużyny, ale bez dystykcji, a tu człowiek wie Pan, umorusany, obrośnięty, ręce brudne, no puścił nas z powrotem, wycofaliśmy się za Lwów, a tam już kilka tysięcy tego wojska bez broni i ci podchodzą tacy pajcy i tu zrywają nam pagony, wie Pan, w bezczelny sposób, mówi: *Kapitaliści*. I tratuja te pagony na schodach, myślę sobie, psia kość, a teraz nałożyli, jakie szerokie, jakie tego, a nam zrywali pagony. No i potem mówią tak, znaczy przyjechało dowództwo i wlaź na jakieś podwyższenie i ot towarzysz mówi: *Wy jesteście bez broni, nawojowali*. Jeszcze śmieli się: *Wy*, mówi: *My wojowali, a wy... nie, my działali tam, a wy tańczyli tanga*. O tak jeszcze wie Pan w bezczelny sposób w ten sposób i mówi: *Teraz wolicie wsio do Rusków*, dlatego że

[1-A, 00:25:00]

łącność przzerwana, komunikacja wszelkie przzerwane, były zbombardowane przez samoloty niemieckie, więc idźcie do Równego i w Równym tam dostaniecie dokumenty i pojedziecie. My po szpałach, już nie pamiętam ile to, spory kawał Lwów – Równno. I my doszliśmy do tego Równego, tam już kilka tysięcy wojska polskiego zebrało się, pobili nas na drużyny. Oczywiście drużynowi już nałożyli czerwone opaski niektórzy, no i po 15 osób zaprowiantowali, oni z prowiantem mieli kłopoty, dlatego że Polska, Polacy mieli dobrze zaopatrzone frontowe te wszystkie magazyny, oni rozbili i tak, 1 dzień jesteśmy, 2 dzień, patrząc wybrali oficerów tam jeszcze i tam jak koszary wie Pan, to są ogrodzone wojskowe taką sztachetą, a potem domki oficerskie były, bo to polskie koszary duże były w Równych. I tam te domki oficerskie, to tam oficerów odłączyli, dali im jeszcze ordynansów. Ci siedzą i pierwszorzędną wyżerka, i grają sobie w brydża, a my tu Panie za sztachetą. Jednak po pewnym czasie przyjeżdża, ja muszę w skrócie, bo to będę rozpowiadał to Pan znudzi się i po pewnym czasie przyjeżdża wyższe dowództwo i każe nam formować się w szeregi. Uformowaliśmy się

w dwóch szeregach, w czworokąt, to duży plac tam, gdzie ćwiczyło się wojsko wtedy polskie w koszarach i przemawia: *Oficerowie wystąp wsie, żeby żaden oficer nie ukrywał się, że mówi: mamy specjalne dla oficerów, o widzicie mówi: musimy im dać inne warunki, więc żeby i odłączyć od szeregowych, żeby występować.* Nikt. Jak mur stoją. To zdenerwował się ten generał, nie pamiętam jakie mówili. Szto mówi: *(nz) oficerów niet.* A jeden, ten Białorus, z Wileńszczyzną oni umieli po rusku rozmawiać, mówi: *Wsie (nz).* Pierwszy szereg, czapki zdjąć. Jak tylko ktoś z włosami, bo oficerowie przeważnie z włosami byli, oni wiedzieli jak szukać. To wystąp. Musi z 50 osób. A nie takie wie Pan, komiczny epizod powiem, obok stał taki Żydek, ordynans i... porucznika, on potem opowiadał, a jak porucznik uciekł to on potrzebował te wie Pan, buty oficerskie nałożyć, spodnie i sam, jeśli ty pójdziesz do swojej sorry to już będzie ładnie wyglądać, a on zobaczył Panie, jak co wybierali trzech chodziło: *Ano wystąp.* On po polsku mówi, że on ordynans. Bez gadania i tego Żyda też, no i potem wybierali, wybierali, no nie pamiętam już ile wybrali, około 100, chyba więcej wybrali i potem na ręce już. Jak tylko eleganckie rączki, dawaj. I tak wybrali ich tam popędzili do oficerów, a nam tak powiedzieli, wie Pan, wszystko było na obłudzie i fałszu, cała polityka sowiecka już potem jak poznałem przecież 10 lat tą całą historię, więc a teraz mówi: *Nie przyjechali główne dowódcę, co dokumenty wydają.*

[00:00:00] Brancewicz_Józef_I-0139-1-B

SS: Raz, dwa, raz, dwa, trzy.

JB: Zatrzymaliśmy się na tej akcji Ostrabrama.

SS: No.

JB: No i ja zostałem w tych swoich Pankiszkach. Co robić? Więc miałem tego znajomego, bo brat dalej jeszcze funkcjonował z tą swoją brygadą. Szczerwoj się nazywała. A ja w tych Pankiszkach zacząłem, a oni natychmiast już jak przyszli, zorganizowali oddziały NKWD i zaczęli prześladować AK-owców przede wszystkim. Część z Armii Krajowej agentów przeszła na ich stronę, między innymi mam tu agenta Panie opowiem potem szerzej, który mnie wydał, to zajmował stanowisko wyższe. A tam strzelał swoich braci. Okropne rzeczy, tylko ja nie chcę wspominać, bo rodzina może zemścić się, on to zmarł. Więc ja skrywam się, ale raz jeden oddział przyszedł, szukali, przetrzęśli całe mieszkanie, nie ma, więc nasza taka trójka, ja, mój bratanek i jeszcze jeden taki podoficer Tarasewicz, zorganizowaliśmy taki schron w lesie, ziemkanka wykopaliśmy, tam wyłożyliśmy drzewem, a nam chodziło o to, żeby przetrwać ten okres, bo myśmy mieli otrzymać, ja miałem lewe dokumenty otrzymać z Wilna, był taki

oddział, Stankiewicza, porucznika. On się zajmował tymi sprawami. Dla AK-owców robili dokumenty lewe. No i z tymi dokumentami można było wyjechać, bo już moje nazwisko to figurowało w ewidencji. Na swoje nazwisko nie mogłem w żaden sposób. To myśmy czekali na te dokumenty. Miały z Wilna. I w tym schronie chowaliśmy się. Ale ile w schronie, w tej ziemiance można siedzieć. Już tam i weszki zaczęły, i trzeba zaopatrzyć się w produkty to myśmy wracali, ale już w tych tamta moja bratowa, jak ja mówię, w drugim była bratowa i taka była wujenka, ona się nazywała, z Wilna przyjechała, bo jej dom zbombardowali, była studentką Uniwersytetu Stefana Batorego, a wyszła za wujka naszego za mąż, bo on miał 60 lat i był starym kawalerem, ale ona miała 20 lat, ale wyszła dlatego, no i to lubiła taki sobie prowadzić tryb życia, on pozwalał. Ja pamiętam, kiedyś spytałem wujka, mówię: *Wujek, ale Janka to mówię, trochę buja w obłokach*, a wujek mówi: *Wiesz co kochany, jak się, kogo kocha to pozwala na wszystko*, mówi. Taki był tolerancyjny bardzo, wie Pan. No i więc ta wujenka i co? Okazało się potem, ten agent, który ja teraz mówię, który tu zajmował wyższe stanowisko, przywdział mundur sowiecki i razem z oddziałem NKWD jeździł. Wszystkich wydawał, bo on znał osobiście. Wszystkich wydawał i tak, jak jeździli w mundurach sowieckich to arestowywali, jak tylko przywdzieli mundury polskie, bo to wtedy już jak przyjadą on tylko jeden rozmawia po polsku, tu w Białymstoku niedaleko mieszkał, spotkaliśmy się dziwnym zbiegiem okoliczności.

SS: Rozumiem.

JB: Nie żyje. Uciekł stąd jak dowiedział się, że spotkał, a początkowo nie poznaliśmy się. Nawet tu było, w moim domu. Razem trafiał na imieniny, jeszcze poczęstowałem i ja nie byłem pewny, wie Pan, bo to się zmieniło, on

[1-B, 00:05:00]

ja jego widziałem w mundurze sowieckim, a tutaj, a potem dopiero uwydatniło się, że to on. No i ci agenci zaczęli wydawać, obok mieszkał agent, mój nawet przyjaciel, mam tu jego zdjęcie i fotografię z Wileńskiej. Był pierwszorzędny agent, a mieszkał pół kilometra ode mnie i przechowywały się, przechowywali się u niego Sowietci, ci cichociemni, którzy rzucone z Moskwy i ja nic o tym nie wiedziałem. A on wiedział o tym. To potem Panu dam cały artykuł o nim. Już zmarł. 100 lat dożył. No, więc ci agenci zaczęli wydawać. I raz byli, szukali, nie. Potem wie Pan, przebrali się w polskie mundury, przyszli tutaj, a ta wujenka lubiła tak wypić, wie Pan i to Polacy przyszli, to ona zaraz, to przyjęcie, Panie wszystko, ich z jakichś 20, no i *gdzie Józek Brancewicz*, on: *jest tu, chowa się tu, ale on bywa czasem*. Ta wujenka wszystko

wyśpiewała. *Bo my mamy ważną, ważną sprawę Panie z Wilna, z tej podziemnej organizacji.* No, więc ona tu ich uczęstowała i wszystko. I wieczorem, to było latem, a tam był skład taki odrynia, popularnie się nazywało skład na siano, bo odrynia to taki wyraz litewski. I do odryni poszli spać. Wystawili posterunek od Radziejom wsi i od Korenian, bo tam dwie wsie niedaleko. A dla niej dla pozorów dali pusty karabin i postawili pod płotem, gdzie nic nie było, od tej odryni jakieś 30 metrów i ona mówi: *Chłopcy, wy zmęczeni to ja będę was, wy śpijcie, a ja będę dyżurowała.* I co pech nadzwyczajny, my w tą noc zdecydowaliśmy przyjść po te produkty. A ja miałem tylko ze sobą nagan i granat. Więcej nic. I ten drugi podoficer Tarasewicz, idziemy po te produkty. Godzina 12 w nocy, księżyc tak świeci, trochę chmurki przelatują, ale wie Pan, jak człowiek wojskowy to zawsze ja drogą nie idę to ja na przełaj, przez łąkę i tam był w kierunku lasu od tego zaścianka duże ogrodzenie, płot. Wie Pan, gdzie wychodzą bydło, to takie wysokie, grodzone takimi żerdziami. To ja już jak od tej łąki jakieś 200 metrów, mówię: *Padnij.* Padliśmy się i czołgamy się. Ja patrzę jakiś posterunek chodzi. Więc ten Wacek mówi z tyłu: *Józek, wycofujemy się.* Ja mówię: *To już wycofujemy się tak i tak zobaczysz, tu parę metrów.* Ja widzę, że część do płotu, że ja dopełnę. Dopełzłem, patrzę baba jasna cholera, Panie. Co za lichy karabin. Przyglądam się, wujenka ta, Janka. Ale wie Pan, co to znaczy przecucie i intuicja? Ona dochodzi, a ja już przy tym płocie jestem to ona za płot ścieżką chodzi, ona dochodzi, a ja tak nagan trzymam, mówię: *Janka, siadaj.* No to już chciała, ja mówię: *Cicho, siadaj.* I ona usiadła, mówi: *Józek, tu polscy partyzanci przyszli, Panie, ciebie koniecznie szukają, Panie.* Ja mówię: *Polscy to polscy,* mówię: *Wszyscy rozmawiali.* Akurat nie kilka dni temu w Sosnowcu, Sosnowiec folwark taki, przyszli i Sosnowiec też nie pamiętam jego nazwisko, ten dziedzic należał do organizacji to ci sami przyszli i jako polecony najlepiej, potem powiedzieli, żeby pokazał drogę, 100 metrów odprowadzili, w łeb z tyłu jak oni umieją, zastrzelili i poszli. To już ja byłem trochę uprzedzony, bo wiedziałem o tym. Ja mówię: *Jaką broń?* A ja tam znam się mówi, broni. Mówię, Józef mówi na pewno. Nie, wie Pan, pierwsza myśl, że mnie dokumenty

[1-B, 00:10:00]

może przynieśli, może Stankiewicz skierował ujawnić się, ale myślę, byłem nie mówię: *Janka, ani słowa, że my tu byliśmy. Broń Boże. Jeżeli powiesz słowo daję zastrzelę.* I dyskretnie wycofaliśmy się. Oni na jutro stali, zrobiła ich tego, oczywiście nie powiedziała, że to z Józkiem rozmawiała, mówi tak: *My teraz boimy się pewnie Sowietów.* To ten Judasz wszystko, bo oni wszyscy, żaden nie rozmawiali po polsku, tylko on jeden. Rozumie Pan? A broń mieli te

pepesze, a ona powiedziała, że przeważnie z bębenkami ta broń to już mnie też trochę, wie Pan, zastanowiło. No, więc mówi: *My teraz boimy się Sowietów, że mogą w dzień tu wpaść to my pójdziem tam do tego Sośniaku, ty przyniesiesz nam jeść i my będziemy czekać. Jak Józek zjawi się, koniecznie żeby przyszedł tam.* No i siedzieli, siedzieli i Józek oczywiście nie zjawił się i poszli. Nie przeszło tydzień przyjeżdżają ci sami w mundurach sowieckich i podchodzi ten, co to mnie aresztował, a jeszcze, co ona powiedziała, mówię: *Józek to mój kolega, razem na uniwersytecie studiowaliśmy.* Widzi Pan? Tak chciała w błąd wprowadzić. Ona była już trochę z nimi podpita, lubiła wypić i ten podchodzi do niej i ty ku... polska, zabieraj się. I zabrali. Sądzieli i potem dziwnym zbiegiem okoliczności ona wydała schron, bo my drugi schron jeszcze mieliśmy w mieszkaniu na wszelką ewentualność. Rozdzieliliśmy piwnicę, zrobiliśmy ścianę, tak jak wchodzi się do piwnicy to normalna ściana, a za ścianą mała taka piwniczka i schron. I to jak podłoga była, to stary taki dom kiedyś, pałac, układane w taką jodełkę, podłoga, ale szerokie deski. Deskę podnosiło się i tam wchodziło się do tego schronu i było wyjście jeszcze do sadku. Przekopane aż pod fundamentem na wszelką ewentualność. To ten drugi schron był, ale ja obawiałem się jak już ją wzięli to ja obawiałem się, że ona może wydać, bo ona wiedziała o tym schronie. No i dalej dokumentów nie ma i przychodzi zima i my dalej w tym schronie, tylko już umówiliśmy się, że już ta... moja siostra stryjeczna otwiera okno, jeżeli tam ktoś jest, a nie to ze strychu zamyka, że my z daleka widzimy, w razie takie sygnały ostrzegawcze i tak czekamy, czekamy Panie i tych dokumentów nie ma. I 18 stycznia... już Boże Narodzenie przeszedłem, wszystko, siedzieliśmy już prawie 2 tygodnie w tym Panie zmęczeni Panie, pójdziemy chodź wykapać się, bo już weszki i wszystko. I jaki zbieg okoliczności, przyszliśmy tutaj.

SS: To było 18 stycznia, którego roku?

JB: 1945. I zrobiła ona tutaj nam obiad, wymyliśmy się, wykapaliśmy się, siedzimy ten obiad, ale to w schronie tym byliśmy, buty tam wszystko na razie, że do schronu będziemy uciekać w razie, czego. I tylko jemy obiad, ja patrzę, a to już okrążają biegiem ze wszystkich stron, białych tych, a ich 30. Okrążyli, no co, nam jedno wyjście, tylko ten schron, co mieliśmy. To my do tego schronu. Zaszczepiliśmy się, siedzimy. O nie, to jak wpadli to już ja tylko słyszę, bo to przez podłogę słyszać, *dawaj miet tam Sasza, budziem ryc.* No to już ja myślę, na pewno wiedzą o tym schronie. No i oczywiście wiedzieli, bo oni... tą wujenkę tam NKWD we Świrze, to było takie powiatowe miasteczko, tam było większość

[1-B, 00:15:00]

to ich dowództwo, to oni tam trzymali na śledztwie zawsze dłuższy czas. Ja tam siedziałem Panie z 3 miesiące. Tortury przechodziłem wszelkie. I wyłamali deskę i wychodzi *bandyta*, bo rzucali granaty. My musieliśmy wyjść, a chcieliśmy jeszcze iść tam. Ale to w styczniu kłapa ta była pod agrestem zrobiona, tam gdzie wyjście. Ja dolałem, zamarzła i nic. I musieliśmy wyleźć. I aresztowali oczywiście, do Kiemieniszek to jest 5 kilometrów, takie miasteczko, tam mieścił się u nich taki rejonowy sztab NKWD, a ten sukinsyn, ten wróg, co to strzelał, potem o nim jeszcze lepiej opowiem, bo on 10 swoich chłopców rozstrzelał. Poszedł do Sowietów. To podchodzi do mnie, ja siedzę już tutaj związany ręce, tutaj Panie z bagnetami, tutaj Panie ten *lieutenant* siedzi z nogami trzyma Panie i on podchodzi do mnie: *tak Panie Brancewicz, już koniec z Panem*. Ja myślę, co za lichy Sowiet tak ładnie po polsku. Okazuje się ten sukinsyn. No i zaczęła się gehenna. Do Świra, we Świrze byłem 3 miesiące na śledztwie, bo oni chodzili i chodziło o to, że oni pomieszczeni mnie jeszcze z brygadą brata, bo brat miał brygadę taką zaopatrzeniową. No i Panu pokaże, tu o nim pisze nawet, teraz pisze wileńska ta, kurier. I oni mnie to myśleli, że to jeszcze, że ja to właśnie, że pomimo tego, że już oni dowiedzieli się potem, bo oni złapali od tej wujenki potem, złapali jednego takiego Masernowskiego ze Uświecia, gdzie ja miałem punkt ten konsultacyjny, gdzie ja uczyłem tych rekrutów, to jego aresztowali i on wsypał, bo tam mordowali niesamowicie. No i oczywiście zaczęli tam śledztwo, bicie, katownie niesamowicie, potem ścieżka ta, siedzieliśmy to takie KPZ były, piwnica, a nad piwnicą to cały urząd milicji, a w milicji wszyscy Żydzi. Jak jeden mąż i to miejscowi Żydzi. Jak mnie przegonili związanego to przyszedł Żyd, z którym razem chodziłem do szkoły podstawowej. Siapka Garberowicz taki. Zobaczył taki medalik jeszcze, zerwał medalik, mnie w twarz, w ten sposób i oni zrobili takie, ścieżka zdrowia, to czytałem dużo o tej i u nas było, to ubikacja od tej piwnicy jakieś 20 metrów, taka wiejska ubikacja i co rano musieli nas wyprowadzać to ustawiali szpaler i my do ubikacji biegiem i każdy z pałką stał. I wie Pan, w ten sposób zdziękowali się, kto szybciej biegł, no to mniej dostał razów, a kto wolniej szedł do tej ubikacji to więcej razów. To tak błyskawicznie brali to tylko tak, a te inne tortury to potem Panu opowiem, to straszne, no i potem taki był staruszek Uszacki, mój nawet znajomy. Jego syn ożenił się z moją siostrą, teraz są w Kanadzie. Więc tego to zamęczyli formalnie, pamiętam. No i potem mnie do zmiany trzy razy gonili do Oszmianej. 70 kilometrów na pieszo to było, bo to Oszmiana to był rejon i więzienie większe. A Świr to było takie małe, to niby takie śledcze i mnie tam gonili, bo to podobno znaleźli kartkę

[1-B, 00:20:00]

że ktoś ma odbić te, to nas gonili, to te 70 kilometrów na pieszo jak ja wspominam to zbili, stratowali, co oni nie wyrwali, w błoto. Okropne tortury. No właśnie, więc 3 razy chodziłem tą drogą, znaczy Świry – Oszmiana i z powrotem. I ostatnio to szliśmy już w 1945 roku w maju było, pamiętam, dochodzimy do Oszmiany, a w Oszmianie salut biją, koniec wojny. Dla na takie wie Pan wrażenie, dochodzimy do tego więzienia, ja myślę, tyle męczyłeś się, tyle czekaliśmy i teraz raptem na pewno nas ześlą gdzieś na Sybir i zginiemy, a tu koniec wojny, wie Pan, taka ironia losu. No i w końcu tu w więzieniu przyjechał ten wojenny trybunał z Mołodeczna, bo to mołodeczańska *jaowłość* była, czyli to wileńskie tego i tu w dyżurce wezwali, bo nam dołączyli jeszcze do mojej sprawy jeszcze dwóch, potem bratanek trafił, który razem chował się i jeszcze jeden. I nas sędzili, no dali po 10 lat, wojenny trybunał 10 lat do różnych obozów i likwidacja mienia i... zsyłki znaczy. 5 lat pozbawienie praw, 1958 rok, był artykuł, punkt 1. No i tam pobyliśmy pewien czas i potem nas jeszcze z Oszmiany 20 kilometrów do stacji trzeba było iść, bo ta Oszmiana to jest tak położona, że do najbliższej stacji 20 kilometrów, to konwojem przegonili, załadowali nas do pociągu i wywieźli do Orszy. I w Orszy tam siedziałem 9 miesięcy, więc jak Panu mówiłem, te komisje były, przyjeżdżały z całej, przyjeżdżali z całej Rosji z rozmaitych fabryk, przeważnie z dalekiej północy i tam z rozmaitych budów, przyjeżdżali, werbowali tutaj pracowników, więc niby taka rzekoma komisja lekarska, co trzeba było wychodzić na korytarz, siedzieli ci, my nazwali kupcy przyjeżdżają kupować siłę roboczą i badali, więc badanie polegało lekarskie na tym, że tutaj macali tylko mięśnie na półdupkach, że tak się wyrażę, godzien, nie godzien. I ja doszedłem do tego stopnia, że 9 miesięcy warunki były straszne, sale po 300 osób, dusimy się formalnie, potem poprzesadzali tych wszystkich wojskowych, co zdobywali Berlin, część trafiła razem tutaj z medalami to zrobili się tak zwane urki, zaczęli rabować, bo oni nawiązali kontakt z administracją więzienną i to jak tylko Panie, a szczególnie z zachodu to przyganiają więźniów wie Pan, to pełne torby, wyładowane, suchary, mięsa, ktoś tam daje, ubrania to te urki napadną, obrabują wszystko, zbiją i potem nawiązali kontakt z administracją więzienną, ta administracja więzienna sprzedaje te jakieś lepsze swetry, lepsze wszystko i dla nich ma chorki i tego, i zrobili sobie kontakt, poprowadzili węglem to my dusimy się. Położyć się nie można, siedząc trzeba spać. Parasza jedna na 300 osób. Każdy, kto idzie do tej paraszy, raz dziennie tylko wynoszą, ta parasza smród niesamowity. I to jest okropne warunki w tej Orszy to było, a ja jak tylko pójde na komisję, czy oni celowo mnie zostawiali, czy zawsze nie biorą. Jak tylko dojdę do

tego stołu, kreskę zrobi i z powrotem. I ja 9 miesięcy, już tyle nabrało się tych tam dachadziaków, że mnie już, ja zemdlałem, wynieśli

[1-B, 00:25:00]

do slabosilki, tak nazywa się sale, gdzie można było położyć się, ta sama sala, bo ani żadnego ubrania, nic, na podłodze, co człowiek miał własne jakieś ubranie to pod siebie. I do tej slabosilki wynieśli i ja tam trochę poleżałem, zasnąłem normalnie, jakoś ocknąłem się i już... a tam sami już umierający, dwoje, trzy osoby dziennie umiera. Pamiętam jakiś major, ale gdzie to nazwisko, toż to nie można było ani ołówka, ani nic, prosił umierający do mnie mówi: *Niech Pan powiadomi tego* i zmarł przy mnie. To ja potem już ja jakoś... dzięki Bogu nabrałem siły, ja roznosiłem tym chleb, co oni dawali, tam zupełnie roznosiłem i tych dachadziaków nabrało się bardzo dużo, dali tutaj popełnienie, jak oni mówią, napływają więźniowie z rozmaitych ośrodków, tam Świr, tam w ogóle z całej Białorusi, bo to był taki przesilny punkt. I potem oni zebrali tych wszystkich dachadziaków za pod rękę i do obozu śmierci, tak zwany nazywał się Nowo Sady, koło Borysowa, 8 kilometrów. I nas tam wysłali. I wysłali między innymi tam było coś do 7 tysięcy. I kobiety też tak przegrodzone i mężczyźni. No, ale obóz jako tako musi być samowystarczalny, więc przede wszystkim trzeba zorganizować brygady robocze to znaczy zaopatrzyć ten obóz trzeba i w wodę, bo wody nie było, i w drzewo i jakaś łaźnia i krawiectwo, jakieś obszycie, więc on mówi, i piekarnia i wszystko, ten obóz musiał być zobowiązany, między innymi więc prace przymusowo tam. Na trzeci dzień trafiam ja do brygady, jak jego nazwisko też, nazwiska to ja nie mam pojęcia, może potem przypomnę, ruski jakiś i on przychodzi, 20 ludzi i trafiam do tego, ten ma Masarnowski, co to ja przeprowadzałem... szkolenie tych swoich chłopców w jego mieszkaniu w Uświeciu, majątek. I on trafił tam, a mnie jak już w śledztwie to czytali jego protokół, mówią: *Ty sukinsyn, mówisz że ty nie należał do AK. Jak ty nie należał do AK jak pażalsta, Masarnowski wyznajcie*. Ja mówię: *Znam*. No tak, *pażalsta jego protokół*. I on tam mówi, że Brancewicz dnia takiego i takiego Panie przeprowadzał szkolenia, a jego jak wsypali tam dobrze to on powiedział, a już ja wiem jak to mordowali tam. To ja patrzę do tej brygady trafia i ten Masarnowski razem, Kotow, o Kotow, nazwisko teraz przypominałem, do tego Kotowa. I ja mówię do tego Masarnowskiego: *to ty proszę ciebie mnie wydałeś*. On mówi: *Józek, wybac tak leli, że przyznał się, że musiałem powiedzieć*. Ja mówię: *Tolek*, on Tolek, ja mówię: *Tolek, ja wybaczam, bo i ja tyle do...* mówię: *Dobrze trafiliście*, mówi: *Nasza brygada śmierci, budzim 150 gram chleba trzeba będzie dodatkowego*. No, ale myśmy co to za brygada śmierci. Okazuje się, że tam wie Pan, już jak

tak wszyscy wycieńczeni tego obozu tam 40 dziennie umierało, a szpital to prowizoryczny, taki barak. I do tego baraku tam leżą na podłodze, to żem jeszcze nie opowiedziałem jak my przyjechaliśmy do tego. Przyjechaliśmy w grudniu, zimno, do baraku nas 100 osób musi do 1 baraku.

[1-B, 00:30:00]

[00:00:00] Brancewicz_Józef_I-0139-2-B

JB: Od benzyny, stoi węgiel wiadra i to niby opalenie na 100, a lód tego, żadnego posłania, żadnego sinika, to co mieliśmy to my we dwójkę z takim staruszkim z Tacina od Michaliszek, nazwisko takie się nazywało to my we dwójkę, on miał kożuch to tak uścielimy się, spaliśmy. No i tak wracam do tej brygady śmierci to z tych baraków to była taka szopa i oni rozbierali każdego do naga i wrzucali do tej szopy. I kobiety, i tego. I teraz brygada śmierci, a tam przymusowo, bo jak nie pójdziesz Pan do pracy to do karceru, a karcer to jest wybudowane z cementu pod naczelnika reżimem, naczelnik reżimu w każdym obozie ma swój taki domek, to jest naczelnik reżimu, starszy *lieutenant* to tam jest taki i woda napuszczona do naga tam posiedzieć 2-3 godziny i koniec. W tym karcerze jeżeli nie wyjdiesz do roboty. No my trafiliśmy do tej brygady śmierci, godzina 12 Kotow: *Panimajcie się z tym Masarnowskim samym*. Dwóch Polaków to już rażniej, bo tak wszyscy to ruscy to... i idziemy, patrzymy, na naradę tak puszczane, bo to jeszcze 1947 jakiś rok chyba czy 1946 był. Wóz zaprzęgnięty i takie 2 drągi to u nich nazywało się *panrady*, wzięliśmy od wachty, bo to przy wachcie stał, do tego pojechaliśmy do tej szopy, a tam chyba z 40 trupów nagich, ale to wie Pan, same tylko szkielety. To kiedyś zwiedzałem w Wilnie w kościele dominikańskim jeszcze jak uczyłem się w gimnazjum, tam znaleźli wykopalisko, że 300 lat czy co, były zamurowane trupy. I one tak zakonserwowały się, widocznie jakaś tam choroba panowała w Wilnie, że potem to otworzyli, za szkłem można było, tylko takie ociągnięte, wie Pan, nie, skóra nie zgniła, ociągnięte, tu i tu takie kościotrupy. I my to składamy na te *panrady* rzędami, 3 rzędy, podprowadzamy pod wachtę, gdzie otwiera się brama i wachcior siedzi tam. Wachcior wychodzi z taką piką, musimy każdego trupa zdejmować z tego, on przebija jeszcze serce, tutaj przebija, znaczy może sukinsyn tego zamaskował się, przebija i z powrotem układamy, i on już wypuszcza, a tam bez kanwojny. Bierze to i wiezie do lasku na jutro na rano konwój już, wyprowadzają nas, tą brygadę śmierci, konwój prowadzi, łopaty wiozą z tyłu, prowadzi do tego lasku, my kopujemy doły, te wszystkie trupy wrzucamy, wapno, worek posypujemy i zasypujemy tam. To Nowo Sady koło Borysowa, ja bym z przyjemnością zwiedził, wspomnienie te bandyckie. I wracamy

z powrotem i ta sama historia co noc. Ja mówię do tego Masarnowskiego, do Tolka mówią: *Antek, nic, ja już nie wytrzymuję nerwowo, mnie to cholera bierze. Nie wytrzymam, zwariuję.* Ja mówię: *Nie pójdę do roboty.* On mówi: *To jak wsadzą ciebie w karczer to koniec.* No i ja mówię: *I tak koniec, i tak koniec, jak zwariuję to gorzej. Nie mogę tej roboty.* I następną noc i znowuż ten Kotow: ? (2-B, 00:04:32). My leżym, a on do towarzystwa już jak Polak: *Brancewicz, Masarnowski, po czemu paniemajcie się?* Ja mówię: *Bol noje. To po czemu nie poszoł do Wraczan.* Ja mówię: *Tak pajnu.* ? (2-B, 00:04:46). No i bez nas, a my leżym. Poszedł on bez nas, na jutro Panie naczelnik reżima ten wzywa. Pierwszego mnie.

[2-B, 00:05:00]

Ja wchodzę: *No ty sukinsyn, czemu na roboty nie poszli?* Ja mówię: (nz). *W kacer, nie w kacer ja takoj roboty nie mogę działać. Nie otrzyma, schodzę i wsio.* Sztachacić. Podumał, Masarnowskiego zawołał, ten też to samo. To on, organizowała się brygada razkarczowka, tak on jednak w karczer nas nie posłał, ale do tej brygady razkarczowka. To my chodziliśmy pod konwojem do lasu i takie pnie, no jakieś może 5-6 lat tylko jak ścięte, zdrowe jeszcze pnie to musieli rąbać te pnie, karczować, składać metry i na sobie wozić i to opał był, opalali kuchnię, kipicielka opalali, piekarnię. To taka brygada, my zaopatrywali, to bardzo ciężka robota te karcowanie było, to trzeba było, nie pamiętam już w tej chwili norma jakaś, metr na dwóch czy coś, i też nas trefner powiedział, i tak my pracowaliśmy tak ciężko w tym. No i w tych obozach. No i potem już, aha, potem o właśnie, to jest najważniejsze, potem kiedyś swego czasu 2 razy byłem tak wywieziony na Rosję, kiedyś swego czasu przychodzi naraczyk i Brancewicz zabierają się z wieszczami, a już jak z wieszczami to znaczy na łopoc. I zebrałem się, wyprowadzają pod bramę, stoi jakiś z całego obozu, jak było 7 tysięcy to może jakichś 10 czy 15 stało tylko, między innymi ja, Polak tylko jeden i wyprowadzają nas pod, tu sprawdza, konwój zawsze sprawdza, już jak zazane to... zawsze taką formułkę mają, *wy niemacie zakluczone, pierw chodziecie razparzenie konwoja, szach w lewo, szach w prawo, szczytajim pabieg, prininajim, a różnie bez uprzedzenia.* Zawsze taka formułka, nas prowadzą, patrzym na bocznice, a to niedaleko bocznic kolejowa, stoi wagon, stały piski, nas do tego wagonu, wchodzimy do tego wagonu, a to jest więzienny wagon polega na tym, że gdzie przedziały to są klatki porobione z drutu i dwupiętrowe. Po 5 ludzi w każdej klatce, korytarz też... drutem stalowym ogrodzony, w korytarzu co nigdy nie bywa, dwóch konwojentów z automatami. Nas zamykają do tej klatki, nie dali ani jedzenia, ani nic, bo zawsze jak jest to oni dają suchy pajok tak zwany, ryba przeważnie solona, potem wody nie dadzą, człowiek zje tą rybę, potem wody

nie dają, ale pakowali do tego, no i nam zaczęło się pić chcieć. Prosimy tego konwonejta... wody i tylko jeden wagon to charakterystyczne, że 1 wagon, zawsze transporty, 5, 6, 10 wagonów, a to 1 wagon, więc do tego konwojenta my tu siedzimy i mówimy: wody. Tak, *Panie automatem, że wy sukinsyny, faszysty, ja wam woduję, jak automatem poprowadzę to zaraz*. I konsternacja też, jak konwój jest tak usposobiony to znaczy i to kośne oczy, te korpusy ekspedycyjne to rekrutowały się przeważnie z US-beków, oni tu przysyłali pod dowództwem *lieutenanta* i też skośne oczy i to już na rozstrzał. Więcej niż pewnie, ale nie przeszło chyba to my tam siedzimy do wieczora, podchodzi, idzie przez nasz przedział dowódca tego konwoju, *lieutenant* i podchodzi: *Wołkow Andrej Andrejewicz, jeść?* Jeść, akurat nie w tym samym przedziale, co ja.

[2-B, 00:10:00]

Trafia na tego Wołkowa i podchodzi do niego i mówi: *Takżesz ty sukinsyn ruski człowiek, że ty przyszedł na faszyskie miejsce był lieutenantem germańskiej armii, ubijał naszych bajcow, kak tobie nie stramna*. Tam jak zaczął jego rugać i zaczął rugać. A ten Wołkow mówi: *Da, był, ale ja nie był tylko w armii germańskiej, ja był w biele, w rosyjskiej armii*. I tam zaczął wymieniać jakaś organizacja była, już ja w tej chwili wie Pan, nie interesowałem się, jakaś organizacja była podpolna, rosyjska. I okazało się, co potem powiem cały jego życiorys i on zaczął i potem ten *lieutenant* zaczął z nim dyskusję, on mówi: *Skarzycie pażauستا rażnien lieutenanta (nz) między Stalinem a Hitlerem*. Tak ten za kaburę, myślał że zastrzeli. *To żesz ten ubijec, a Stalin mówi: to nie był ubijec?* I zaczął (nz) *try miliony ludzie i pagidło, Hitler to choć strelał, a on sukinsyn Panie doprowadzał ludzi, że ginęli z głodu Panie* i zaczął te wszystkie strojki socjalistyczne (nz), a zna to jak na pamięć wykute, jak zaczął opowiadać tak ten widzi *lieutenant*, że tutaj słuchają ci, a oni jeden jednemu nie wierzą, bo na korytarzu ci są bajcy, także sukinsyn tak mówi: *I śmierć ciebie nie pierła spitajić*. Rzucił i poszedł, więc ja zainteresowałem się co to za gość, że on tak świetnie zna historię tych obozów. A zdenerwowałem się i zaznaczyłem polską jakąś piosenkę, on mówi: *To pan Polak?* Do mnie. Ja mówię: *Tak. I ja Polak*. I przedstawił się. Okazuje się, że jego ojciec Rosjanin, w 1918 czy którym tam roku emigrował do lwowskiego tutaj, pop, on syn popa, skończył Uniwersytet Lwowski, wyższe studia, już nie pamiętam jaki wydział, Wołkow, i należeli do jakiejś organizacji, że kontakt miał nawet za granicą z Rosji i tutaj, i potem jak Niemcy wycofywali... swoich przed wojną Hitler 2 czy 3 lata przed wojną wycofywał volksdeutschów tak zwanych, więc on, ta już jego organizacja to miała widocznie jakieś środki do tego, że on napisał się jako

volksdeutsch, wycofał się tam, tam wstąpił do armii hitlerowskiej, był *lieutenantem*, przeszedł całą Polskę, doszedł do Mińska, w Mińsku trafił na swoją siatkę, Niemcy wywąchali, ale tu już kontrofensywa szła sowiecka, wywąchali i jego aresztowali w ostatni dzień. Chcieli przeprowadzać więcej, myśleli że może tego i jakoś, już ja też dokładnie nie wiem, on to szczegółowo opowiadał, odbili i on został w więzieniu i już armia sowiecka przyszła. Armia sowiecka miała, kontrwywiad armii sowieckiej lepiej działał niż niemieckiej. Już jego miała na ewidencji. Za łeb i sąd, sędzili karę śmierci, zamienili 20 lat, bo oni już jak karę śmierci to zamieniają na 20 lat i on miał 20 lat. Czyli jesteśmy więcej niż pewni, po polsku ślicznie rozmawia, no i my tu już zaprzyjaźniliśmy się z nim i nas wiozą. I ruskich tam parę, ale nie wiemy, gdzie wiozą. Mówią, że na Siwier wiozą, no to daleka północ. Okazuje się wieźli, wieźli, ile my jechaliśmy już nie pamiętam. Przywieźli do Smoleńska, w Smoleńsku zatrzymali, jakies tam ruskie zorientował się, że to Smoleńsk, potem

[2-B, 00:15:00]

podwieźli jeszcze ze Smoleńska do Gniazdkowa, jak teraz ja już, bo poprzednio nie wiedziałem, do jakiejś maleńkiej stacyjki, tam zatrzymali i my stali całą dobę, ani jeść, ani nic nie dawali. I ten ruski mówi: *Płoch z nami*. Ruski mówi: *Płocha. Rzeź niedaleka Katyń*. I tak potrzymani nas całą dobę, z powrotem przywieźli do tego samego obozu, wypuścili. I potem z tym Wołkowem my zaprzyjaźniliśmy się, wie Pan, bardzo inteligentny gość, on pracował w szpitalu, potem już ten Zerowicz, lekarz jak ja mówiłem, wziął jego. To on jak zdobędzie kawałek chleba to ze mną podzieli się, wie Pan, takie dobre serce miał. No i ja mówię: *Jak ty Andrzejku myślisz na ten temat?* On mówi: *Na pewno rozstrzelać chcieli, ty nie wiesz, że oni robią selekcję więźniów od pewnego czasu, toż to więzienie byłoby przepełnione*. Tam miliony jest i oni selekcję, Panie przyjeżdżają, a jeszcze zapomniałe powiedzieć, że ? (2-B, 00:16:28) to znaczy ta więzienna, obozowa straż puszcza wersję, że o, przyjechali jacyś naczelniki, jak oni mówią, z (nz) i wybierają Polaki, pojedziecie do Polski. A oni zamiast tego to przebrali, dzielą. Wybrali takich najgorszych, rozstrzelują i znowu. I taki korpus ekspedycyjny z tych US-beków tak jeździ z obozu do obozu i rozstrzelują, dlatego. A drugi raz to już później opowiem, bo zmęczony, jak do Mohylowa to nas zabrali 300 i przywieźli do obozu, gdzie byli, a z Mohylowa był człowiek razem milicjant, Rosjanin, ale on był w niemieckiej milicji i jego zabrali, i on trafił, a jak przywieźli do obozu koło Mohylowa, te wyselekcjonowali Polaków bardzo dużo, najpierw to myśleliśmy, że Polaków wożą do Polski, ale okazało się potem, że Polacy, oprócz Polaków to i Litwinów i kilka ruskich i Białorusinów, to już i przywożą do tego

obozu. Przywożą do obozu nad Dnieprem, pamiętam jak dziś, 5 czy 6 kilometrów od Mohylewa, duży las, w polu ten obóz stoi, przychodzimy do tego obozu i już nadszarpnięty czasem, już te pogniłe deski, wyżki takie, dach załamany, 4 wyżki zawsze rogowe, do tego obozu nie jesteśmy ani zaprowiantowani nic, ja trafiłem jeszcze do takiej brygady, pod konwojem poszliśmy, tam pokrzywy takie rosną tylko, żadnej już od X czasu w tym obozie nikt nie był. My nabraliśmy w worki te pokrzywy, przywieźli z Mohylewa... beczkę kamsy, takiej ryby zgniłej, ugotowaliśmy taką zupę, popiliśmy i siedzimy. Dzień, dwa i ten ruski mówi: *Znajcie gdzieś*, a to tak ciemny las, może metrów od tego obozu 150, duży. Mówi: *Gdzieś siep mnoga*, czy jak on powiedział, czy *wsie polskie oficery*, że gdzieś był mówił boss polskich oficerów, dlatego mówi: *Nikogo niet, bo gdzieś oni w tym lasu wsie*. Mówi: *Towarysz płochu z nami*. I 3 dni nas tam trzymają. Prawie głodni, tylko tej zupy, raz chleb dali, prawda. I na 4 dzień nas było około 300 to po 50 gnali czy po 30, nie pamiętam, a że moje nazwisko na B to ja w pierwszej tej, wyganiają, konwojenci.

SS: Domyślam się, że na rozstrzał.

JB: Co? Już byliśmy więcej niż pewni, bo konsternacja, już byliśmy Polacy, od razu

[2-B, 00:20:00]

był entuzjazm taki, że o do Polski, a potem, jak już przywieźli do tego obozu i na południe jedziemy, do Polski i raptem konsternacja następuje niesamowita i wyganiają nas, patrzę, musi 4 czy 5 oddaje broń do drugich. Drugim oddaje broń. Do konwoju. Nas pędzili szosą i pamiętam jak pokrzywę zbierała, zbieraliśmy to taka fabryka daleko, a z tym ruskim akurat, on mówi: *Ta fabryka to zbombardowali niemieckie*. Kominy, taka biała fabryka, ale już nie pamiętam w tej chwili jaka to fabryka była, zbombardowali Niemcy. To zamiast szosą, a tu deszczyk popadał to oni koło Dniepra nas skierowali. I tylko doszliśmy do Dniepra faszyści w błoto. I jak kto Panie spóźnił się to kolanami Panie, zaczęli bić i nas ? (2-B, 00:21:13) znowuż 15 metrów przeleciał, znowu (nz), ja już nie pamiętam w tej chwili ile to kilometrów, dogonili nas, już tak zbici, tak zmasakrowani do tych wagonów załadowali i z powrotem do tego samego obozu.

SS: Gdzie był sens tego?

JB: No sens, że było... na rozstrzelanie, a w ostatniej chwili podobno był ten norymberski proces, w ostatniej chwili przyszło tam i tu odwołanie, to tak komentował Wołkow ten, ja wierzę w 100 procentach, bo oni chcieli zemścić się, bo na przykład jak kiedyś trafiłem z jednym w obozie, już nie pamiętam, konwojentem, co był i on trafił potem do obozu, czy to gorszy był, to on mówi, że oni tak nastawiają do więźniów konwojentów, że oni ubicy, że oni

faszyści, że oni tacy, tacy, że oni tak są usposobieni, że oni chcieli zemścić się i nie rozstrzelali to potem jak z powrotem nas gnali to chcieli zemścić się, o na faszystach, że przyszło odwołanie odgórne i dlatego ja jestem więcej niż pewny i chciałem właśnie do tego Mohylewa kiedyś wybrać się i tam może właśnie jeszcze znaleźlibyśmy te groby, ale gdzie już tyle lat, oficerów polskich, bo tam było, obóz tary już na wykończeniu. Takie rzeczy.

SS: Może jeszcze troszeczkę, z Mohylewa dokąd Pan pojechał?

JB: No i z Mohylewa gdzie my byliśmy?

SS: Do Spacebozow.

JB: Do Spacebozow, tak. To do Poómy.

SS: Do Poómy?

JB: Tak, na 14 punkt trafiłem, to było potem ja to mam nazwisko, nie przypominałem, bo mój kolega jest, już teraz dochodzi w Łysakowicach razem byliśmy, on z żoną, ja nawet ślub im na Syberii dawałem.

SS: Jak to dawał Pan?

JB: No bo to bardzo ciekawa historia, więc nas jak przywieźli potem już na Syberię, do tej no więc... samolotami jak ja mówiłem w Krasnojersku byliśmy, potem... autami przywieźli nas do Wienisiejka, w Wienisiejku czekaliśmy na samoloty, lot na pogodę nie było, 2 tygodnie i potem samolotami przywieźli nas do Siwier i Jenisiejka. Tam wyładowaliśmy się samolotami, już bez konwoju pojechaliśmy. W Wienisiejku tylko konwój odprowadziło samolotu, tak wsiedliśmy do samolotu, już konwoju nie było. Przyjeżdżaliśmy do Siwier i do kantory, do kantory piszą, a ja to tylko z jednym Polakiem Stefanowiczem, on obecnie co ma 91 rok legionista, trafiłem. On w Słupsku obecnie jest. Z nim trafiliśmy w pierwszej tej. No i kierują

[2-B, 00:25:00]

do kantory. Kantory piszą, a ja na B to pierwszy, a ten Stefanowicz mówi: *Józek, jak ciebie skierują do jakiegoś ośrodka to powiedz mi, ja będę prosił, żebyśmy we dwójkę byli*. I oni mnie piszą: *Bierezowy klucz, wychodzi*. No i idzie Stefanowicz, on prosi (nz). I jego *bierezowy klucz*, a my nic nie wiemy, gdzie, co wiozą, bo to przywieźli i koniec. Potem przyjeżdża jakieś 10 sań zaprzęgniętych, na przednie sanie to wóz z sianem i takie też skośne oczy US-bek, po rusku bardzo mało rozmawia i kto ma *bierezowy klucz, zabierajcie się*. No i my tam było może 15 osób, między innymi kilka kobiet, Ukrainki fajne tam, bardzo dużo Ukrainek było, Litwinek bardzo dużo było. Fajne takie dziewczynki pamiętam. My zabraliśmy się na te wozy, a tu zimno, bo te buty nie mamy, a to już grudzień, zimno i my tak nie ma tam żadnych dróg, on

tylko przyjechał rzeką. To jest droga, rzeka zamarznięta aż do dołu to on przyjechał raz w tą stronę i z powrotem my tym śladem teraz jedziemy. I tak jedziemy, jedziemy, już nas cholera bierze, tam dalej nam pieniędzy żadnych nie mamy, bo to z obozu, jedziemy, potem zatrzymali już konia, my ze Stefanowiczem, a Stefanowicz taki energiczny były wojskowy, zatrzymaliśmy konia i *ku damy jedziem*, pytamy się. On pokazuje na palce, że wieczorem będziem. No i dojechaliśmy tam do tego *bierezowego klucza*, tam kilka domków stoi, 2 baraki i więcej nic. I wyładowali tam nas, poszliśmy, tam jest stołowa, sklep, 2 baraki, 1 damski, 2 męski, kilka domków jednorodzinnych takich, w tajdze, tu rzeka, fantastyczne góry z lewej strony kolorowe takie, dopływ tej, rzeczka taka i my wyładowaliśmy i to jest *Zbierezowy Klucz*, poszliśmy no wieczorem do stołowej, dali nam jedzenia, ale poszliśmy rano, a w stołowej Chińczyk, Chińczyk i...

[00:00:00] Brancewicz_Józef_I-0139-3-A

JB: Poszliśmy od razu do stodoły. Przywitał nas niski, przysadzisty kucharz, Chińczyk. Miał... na nasz przyjazd przyszykowany obiad i kawę. Potem przyszedł drugi Chińczyk, rozmawiał płynnie w języku rosyjskim. Powiedział, że naczelnika tego (*nz*) Iwana Iwanowicza chwilowo nie ma, pojechał do miasteczka Pej, do dyrekcji, w sprawie służbowej. Ja jestem kierownikiem jednoosobowego sklepu, dostałem polecenie zaopatrzyć nas w pościel i zakwaterować. Na dzisiejszy dzień jesteście zaprowiantowani, płaci za was gospodarstwo. Od jutra będziecie na własnym rozrachunku. Bliższe szczegóły o zarobkach w formie pracy i inne problemy socjalne, bytowe, omówi z wami po powrocie Iwan Iwanowicz, nasz boh i car, zażartował na zakończenie Chińczyk. Po obiedzie poszliśmy z nim do magazynu, każdy otrzymał materac, kołdrę, prześcieradło, poduszkę napchaną sianem. Z całym ekwipunkiem poszliśmy do przeznaczonego dla nas baraku, tak zwanego hotelu roboczego, było już tam, były tam już łóżka, wprawdzie jedno okno było wybite, ale dwa... żelazne piecyki grzały dobrze, a drzewa w tajdze wystarczało. Kobiety zakwaterowane w innym, mniejszym baraku. Spaliśmy jak susły bez przerwy do godziny 10 rano. Nikt nam nie robił pobudki, nie mieliśmy już tego bata nad sobą, który wisiał nad naszymi głowami przez 10 lat. Zbudził mnie basowy głos Władka: *Wstawaj Sybiraku*, powiedział: *Pójdziemy na śniadanie*. Ubrałem się szybko, chciałem wyrzucić przez okno, ale były zamarznięte grubą powłoką lodu o fantastycznych wzorach, iskrzących się iskrach diamentowych. Poszliśmy do stodoły. Przy pierwszym stoliku siedział nasz kucharz Chińczyk w białym czepku. Łamaną rosyjszczyzną oświadczył nam, że od dzisiaj musimy płacić za wszystko, a kredytów on nie udzieli, ponieważ nie myśli płacić z własnej kieszeni.

Przyszli inni towarzysze, zaczęła się ostra dyskusja, tłumaczymy, że przecież żaden z nas nie ma pieniędzy, a żyć trzeba. Chińczyk był nieugięty, nie ustępował. Kiedy dyskusja zaczęła się coraz bardziej Chińczyk pobiegł do kuchni, chwycił Finkę i po stanie wojennym oznajmił, kto pierwszy odważy się sięgnąć do kotła, sam zabije go. Na pewno doszłoby do incydentu groźnego, gdyby nie interwencja jego rodaka, kierownika sklepu. Ten wytłumaczył jemu w ich ojczystym języku, że przecież ludzie nie trzeba, że ludzie trzeba trochę nakarmić nim przyjedzie naczelnik. On sporządzi listę kredytową imienną, każdy dostanie miskę zupy i chleba na kredyt i podpisze. Na podstawie tej listy będzie mógł... miał możliwość potrącić z poborów. Ludzie ci nie przyjechali na kurort, ale na pracę, a za nią będą otrzymywać wynagrodzenie. Wreszcie kucharz uległ. Zaznaczył jednak, że tylko wyda... zupę i chleb. Po burzliwym śniadaniu wróciliśmy do baraku. Termometry wskazywały 48 stopni poniżej zera. W baraku było +15. Pomimo dużego mrozu namówiłem Władka na przechadzkę. Posiołek już poprzednio pisałem, nie przedstawiał żadnej atrakcji, kilka drewnianych domków i 2 baraki. Doszliśmy do rzeki, którą właśnie przyjechaliśmy, w tym miejscu droga się skończyła, tylko dalej biała wstęga zamrznięta rzeki wiała się dalej na północ i ginęła wśród gąszczy leśnych, dookoła góry porośnięte nieprzebytą tajgą, z prawej strony po drugiej stronie rzeki widać okazałą skalną górę wyglądającą jak jakaś stara wieża obronna. Takiego pustkowia i takiej

[3-A, 00:05:00]

dziękuję natury to jeszcze w swoim życiu nie widziałem, powiedział Władek. Jednym słowem start nowego życia w Brzozowym Kluczu nie zapowiadał się różowo. Wieczorem znowuż mieliśmy zatargi z krzywym Chińczykiem. Przy kolacji wciąż nas straszył, że daje zupę i chleb ostatni raz na kredyt, a do naszego boga i cara jak... nie ma, tak nie ma. Dopiero na 3 dzień około południa zjawiał się dobrze podchmielony w towarzystwie swego przyjaciela dziesiętnika Igora Dymitrowicza, zarządził ogólne zebranie w stołowej. W pierwszym rzędzie wytłumaczył swoją nieobecności, potem zaczął zwykłym frazesem: *Towarzysze, uznalim, że wy przyjechali z obozu bez grosza przy duszy, że nie macie ubrania, a u nas mrozy nieraz dochodzą do 50, czasem i więcej gradu są. Wiemy również, że i wśród was są ludzie z wyższym wykształceniem, profesorowie, inżynierowie, technicy, nauczyciele, romanowi i inni. Z żalem muszę dla was zakomunikować, że u nas jest tylko jeden rodzaj pracy, nie po waszej profesji. Praca u nas wyłącznie to lasa (nz). Trudno, będziecie musieli przystosować się i nauczyć się, bo robota toć kuszej. Dostaniecie ode mnie zaliczkę, każdy po 2 tysiące rubli, za te pieniądze musicie kupić sobie odpowiednie ubranie to znaczy długie, bite, syberyjskie spodnie watowe,*

kurtki watowe, buszlaki watowe 2, 2 pary bielizny ciepłej, duszanka czapka, no i rękawice ze skóry reniferowej. Resztę co zostanie, około 700 rubli, będziecie mogli na utrzymanie. Bieliznę pościelową, które już otrzymaliście będziecie spłacać ratami. Z każdych poborów będziemy automatycznie potrącać. Więc od jutra zaczynamy, dostaniecie instrumenty za darmo do wyrąbku lasu. Za 1 metr sześcienny drzewa stawki nasze są już dawno unormowane w dyrekcji. Będziecie otrzymywać 7 rubli i 50 kopiejek. Sklep nasz jest dobrze zaopatrzony w artykuły spożywcze i inne, nawet mamy beczkę spirytusu. Igor Dymitrowicz wskaże wam miejsce pracy, to dziesiętnik ten, i szczegółowo was o wszystkim poinformuje. Teraz proszę pobierać zaliczkę. I wyciągnął teczkę, listę i już miał przyszykowane i zaczął wypłacać. Podchodziliśmy, braliśmy pieniądze, składaliśmy podpisy. Poszliśmy z Władkiem do sklepu. Był na ogół na nasze warunki nieźle zaopatrzony, wisiały nawet brdanki myśliwskie, to takie... jednolufowe dubeltówki, no i na widok tej broni odezwała się u mnie żyłka myśliwska. Naraz jednak te artykuły były dla nas luksusowe. Po kupnie niezbędnego zimowego ubrania roboczego zostało nam po 800 rubli na życie. W pierwszym rzędzie zapłaciliśmy dług kucharzowi, że 3 dni kredytowego posiłku, no i pozwoliliśmy sobie kupić po pudełku konserw rybnych. Nazajutrz już rano cała nasza załoga była na nogach. Zjedliśmy śniadanie, pobieraliśmy narzędzia, wszech... owszem, ruch nadzwyczajny, postanowiliśmy że z Władkiem będziemy pracować tylko we dwójkę. Inni grupowali się po 3, a nawet 4 w grupie. Pobrałem za pokwitowaniem 2 siekiery, piłę, 2 młoty stalowe, które... kliny żelazne i tak uzbrojeni w narzędzia pracy brnęliśmy po pasku śniegu do miejsca pracy. Nasz brygadzysta, raczej dziesiętnik, prowadził cały sznur lesorobów. Szliśmy tak prawie 3 kilometry gęsiego

[3-A, 00:10:00]

*torując drogę. Przeszliśmy rzekę i zagłębiliśmy się w tajgę. Dziesiętnik zatrzymał się i wskazał przed siebie, ten las będziemy rąbać. W każdej grupie odznaczył poletkę. Zaczęliśmy pracę z Władkiem. W pierwszym rzędzie trzeba było odkopać ze śniegu pnie drzewne. Sama droga z ciężarem już nas wyczerpała, a przecież nie cieszyliśmy się dobrą kondycją. Sapaliśmy jak gęsi, ale trzeba było zarabiać, bo ciągi ciągle ciążyły na nas zaciągnięty dług i ciągle dźwięczały w naszych uszach słowa Iwana Iwanowicza: *Kto rabotęj to kuszejć*. Zaczęliśmy piłować pień modrzewia. Piła niezbyt ostra, wciąż zacinała się. Co chwilę odpoczywaliśmy. Wreszcie olbrzym runął i z trzaskiem zagłębiając się całkowicie w puszystym śniegu. Znowuż trzeba było odkopywać ze śniegu, ale już na całej długości. Poza tym obrąbać z gałęzi, popiłować na metrówki, znosić w jedno miejsce, metrówki potrząpać. Za pomocą ciężkiego młota i klinów*

żelaznych. Ułożyć metry, gałęzie znosić i spalić. Na miejsce, na nasze wątłe siły był to wysiłek nadzwyczajny. Pomimo, że mróz był trzaskający, pracowaliśmy w marynarkach, oblani potem. Już dawno słońce zaszło i była noc, my wciąż paraliśmy się z tym jednym pniem. Wreszcie skończyliśmy, zmierzyłem, ledwie postawiliśmy 2 metry. Prosta kalkulacja, zarobiliśmy po 7 rubli i 50 kopiejek, a dzienne skromne utrzymanie w solówce kosztowało minimum 17 rubli na osobę. Wszystkie narzędzia zakopaliśmy do śniegu i ze spuszczoneymi głowami wracaliśmy do domu. Wyszliśmy z tajgi i rzeką uprzednio wydeptaną ścieżką noga za nogą posuwaliśmy bardzo wolno. Czuć było na sobie mokrą koszulę. Naraz Władek usiadł na śniegu, zapalił papierosa i uroczyście oświadczył: *Józek, idź do domu, ja tu zostanę na zawsze*. Myślałem, że on żartuje. Zapaliłem też papierosa, zacząłem jemu opisywać piękną, mroźną, księżycową noc w tajdze. Władek zdenerwowany krzyknął: *Przestań niepoprawny romantyku. Rozkazuję ci jako starszy wiekiem, żebyś natychmiast mnie zostawił w spokoju. Idź, proszę cię i zapomnij o mnie. Nie pisz do nikogo. Ja chcę umrzeć, zasnąć we śnie. Mróz będzie moim sprzymierzeńcem*. Chciałem jemu wytłumaczyć i skrytykować jego niekonsekwentne zamiary, nie dał mi dojść do słowa, przecież... powiedział: *Wcześniej czy później przyjdiesz do mnie. Myślisz, że przetrwasz? Łudzisz się nadzieją jak zawsze? Myślisz, że wytrzymasz? Oni specjalnie przywieźli nas tu byśmy zginęli. Pamiętasz słowa swego sędziego śledczego jak mówił: padachnisz i tak, ale jak jeszcze dasz (nz) dla gospodarstwa. Oni stopniowym konaniem wykończą nas definitywnie. Będziemy stopniowo umierać. Ja patrzę realnie. Głupi byłem jak ty, przecież 10 lat łudziłem się, budowałem zamki na lodzie, czekałem kiedy dzień... czekałem każdą minutę. Przetrwałem 10 lat piekła i co? W rezultacie wszystko przeszło jak bańka tęczowa. Zamiast zasłużonego wypoczynku, leczenia, wywożę nas na Syberię i jeszcze każą nam podpisać, że zgadzamy się do końca życia pozostać tu. Szkoda, że nie podpisałem, bo właśnie to nastąpi, kres mego, tu nastąpi kres mego życia. Byliśmy przynajmniej satysfakcją, że 1 Polak*

[3-A, 00:15:00]

stosował się do ich życzenia, zakończył ironicznie. Zamilkł i pogrążył się w zadumie. Wziąłem jego za... pod rękę, ucałowałem i chciałem podnieść, szarpnął się, odskoczył, ode mnie wyciągnął nóż, oczy iskrzyły się złowrogo i ryknął: Nie ruszaj mnie. Do ostateczności nie doprowadź, bo inaczej dojdzie do tragedii. Idź i nie wracaj. Odszedłem 2 kroki, głosem podniesionym i ze złością zacząłem: Ty jesteś wojskowy, walczyłeś nie na jednym froncie, zwyciężałeś, jesteś odznaczony. Wychowałeś kwiat naszej patriotycznej armii. Byłeś gwiazdą przewodnią polskiej młodzieży. Niosłeś kaganiec wiedzy, a dzisiaj co? Widzę przed sobą

tchórza, widzę przed sobą słabego, załamanego starca. Widzę człowieka bez woli, charakteru, który w decydującej rozgrywce kapituluje. Szanse nasze jeszcze nie zginęły. Na pewno przyjdzie czas, że i o nas się upomną. Kto wie czy nie idą pertraktacje na ten temat. Daję tobie jedną minutę do namysłu i tak nie dam ci umrzeć, najwyżej odmarzniesz nogi i ręce. Nim ja dojdę do Posiołku, wezmę konia i sanki, i 2 mocniejszych Litwinów. Milczał. Ja milczałem. 2 ciemne sylwetki stały na lodzie pośrodku rzeki tajgi. Też milczały, księżyc tajemniczy światłem oświecał wierzchołki ośnieżonych drzew. Złote i diamentowe isierki paliły się migocące na śniegu. Mróz wzmacniał się, poczułem przenikające zimno, trzeba było powziąć natychmiastową decyzję. Energicznie podszedłem do Władka, wziąłem jego za rękę i bez słowa i oporu poszliśmy do Posiołku. Zrobiłem błyskawicznie kolację, Władek nie jadł, a na moje zaproszenie odpowiedział: *Zakładam głodówkę, podobno taki rodzaj śmierci jest też niebolesny.* Nazajutrz wstałem raniutko, obudziłem Władka, odpowiedział hardo, że nie, na śniadanie i pracę nie pójdzie. Wobec tego sytuacja powziąłem decyzję, że będę pracował sam. Poszedłem do narzędziowni, wziąłem jednoosobową piłę na łączku, tak zwaną stachanówkę i poszedłem w tajgę. W drodze spotkałem Iwana Iwanowicza, który wracał z tej, powiedziałem jemu, że mój przyjaciel zachorował i jest w depresji nerwowej. Może znajdzie się inna jakaś praca w Posiołku, bo on jest wyczerpany, że pracować w lesie nie może. Nasz naczelnik pomyślał chwilę, spytał mnie jakie on ma zawód, czyli profesję, może jest płotnikiem, po polsku cieśla. Odpowiedziałem na pewno tak, ponieważ w okresie pobytu 10 lat w obozie wyspecjalizowaliśmy się we wszystkich dziedzinach i możemy z powodzeniem wykonywać wszelkie zawodowe prace. (nz) odpowiedział Iwan Iwanowicz. Nam można remontować łaźnię, robota na miejscu, a płacić będę jemu za dniówkę tyle ile wy zarobicie w lesie. Na zakończenie poprosiłem naczelnika, żeby zajechał do Władka i omówił z nim sprawę szczegółowo. Sam natomiast poszedłem na wyrąbkę do lasu. Wziąłem się rzetelnie do pracy z myślą, że przecież moja wydajność pracy będzie decydować również o zarobkach Władka. Piłka stachana okazała się idealna. Była cienka i ostra, i nigdy nie zacinała się, chociaż drzewo nieraz zaciskało, dlatego że wąska i cienkie płótno piły i wrzynało się szybko w pień drzewa i miało dostateczne pole bez

[3-A, 00:20:00]

zacięcia się do pracy. Natomiast dwuosobowa poprzeczna piła miała właśnie szerokie i grube płótno i stale w tych wypadkach była hamowana przez zaciśnięcie drzewa. Trzeba było wbijać kliny albo podwierać nóżkami, aby opiliować do końca, no i w rezultacie przedłużało pracę i

zużywało więcej dodatkowej energii i siły. Wybrałem podobny pień drzewa jak w dniu wczorajszym. Do wieczora uparłem się sam, uporałem się sam ze wszystkimi czynnościami. Zmierzyłem, zrobiłem przeszło 2 metry. Szedłem zadowolony do domu, na progu spotkał mnie Władek, uśmiechnięty, od razu zaprosił na kolację, którą już wcześniej przyszykował. Zgodził się na remont łaźni, dzisiaj też pracował, zakomunikowałem jemu, że dzisiaj zarobiliśmy po 16 rubli. Jutro mam zamiar postawić 3 metry. To chyba będzie mój szczyt tak, że w sumie będziemy zarabiać po 25 rubli dziennie, wliczając w to dodatek tak zwany północny, po rusku *siewiernyj*, słowa dotrzymałem i rzeczywiście na drugi dzień postawiłem 3 metry. Piłka moja spisywała się znakomicie. Po 14 dniach otrzymaliśmy pierwszą wypłatę. 350 rubli, potrącono zaliczkę 100 rubli, a 250 na rękę. Wzięliśmy z Władkiem na obiad po 50 gramów spirytusu, chcieliśmy po tylu latach spróbować smak alkoholu. Zawirowało w głowie, życie i świat trochę zaróżowiało, zrobiło się lżej na duszy. Władek zaśpiewał ślicznym męskim tenorem wiązanek pieśni legionowych. Pomagałem jemu całą piersią. I te smętne słowa tradycyjnych wiązanek rozbrzmiewały wśród ciszy i nocy, a echo niósł wiatr w tajgę syberyjską dalekiej północy, idzie żołnierz borem lasem. Drugą wypłatę otrzymaliśmy w końcu miesiąca. Władek skończył swoją pracę w łaźni. Naczelnik zaproponował jemu, żeby przeniósł się do innej miejscowości oddalonej od Brzozowego Klucza o nazwie Bruslaki. Tam też rąbali lasy, ale było kilka brygad mechanicznych. Potrzebni byli ludzie do obrąbywania gałęzi. Władek zgodził się i odszedł. Pozostałem sam wśród obcych narodowości. Początkowo było mi smutno, już nigdy nie usłyszę dźwięku mowy ojczystej. Często idąc albo wracając z pracy rozmawiałem do siebie, deklamowałem wiersze z Pana Tadeusza i inne, które jeszcze pozostały mi w pamięci ze sztabackich lat. pewnego razu, to chyba było pod koniec lutego, Iwan Iwanowicz zwołał zebranie, przedstawił wniosek, że musimy zorganizować brygadę woszczyków. Będą oni wywozić drzewo przez nas wyrąbane do brzegu rzeki, bo wiosną kiedy lody puszczą i będziemy spławiać w dół rzeki do elektrowni w tej mamy, w Posiołku 10 koni, więc potrzeba 10 (nz). Zaznaczam tylko, że wywózka jest niebezpieczna, ponieważ są duże góry spadziste, wobec tego każdy woźnica musi podpisać oświadczenie, że w razie zabicia konia będzie odpracowywał na 5 tysięcy rubli. Pierwszy zgodził się Łotysz, były bokser z gwardii narodowej o potężnych barach, podszedł i podpisał. Drugi wystąpiłem ja, też podpisałem.

[3-A, 00:25:00]

Kierowałem się tym, że od dzieciństwa bardzo lubiłem konie. Po drugie, więcej można było zarobić. Po trzecie, nie trzeba było pieszo chodzić, raczej brodzić po śniegu. Za przykładem

naszym znalazło się jeszcze 6 ochotników. 1 Rosjanin, 2 Litwinów, 1 Estończyk, 1 Ukraińiec, 1 Tatar. Owszem, nasz zespół tworzył międzynarodówkę. Namówiliśmy jeszcze jednego Czechosłowaka, młody blondynek pamiętam, ale kategorycznie odpowiedział: *Obawiam się, że w razie wypadku trzeba będzie przecież konsekwentnie, mogą być konsekwencje materialne.* Na drugi dzień poszliśmy do stajni. Iwanowicz, stajenny przydzielił nam koniec, uprząż i sanie. Mnie wypadł nieduży, krępy konik o nazwie Barbason. Potem jednak kilkakrotnie zawiodłem się na nim, bo jeżeli sanie były cokolwiek za dużo obciążone stawał na miejscu i żadna siła nie ruszyła jego z miejsca. Trzeba było rozwiązywać opakowany wóz i rzucić chociaż jedną szczapę. Wciąż oglądał się do tyłu, skoro zauważył, że od wozu trochę odebrało, ruszał posłusznie naprzód. Wywózka rzeczywiście była niebezpieczna. Zjeżdżało się przeważnie z dużym obciążeniem ze stromych pagórków, a hamowaliśmy sanie zawiązując łańcuchy na płozach, ale mnie nie tylko mnie, pewnego razu pękł łańcuch i sanie nabrały błyskawicznego tempa. Mój Barbason upadł i na leżąc siłą rozpędu zjechał jak 150 metrów grzbietem do dołu. Szczęście, że po drodze nie było żadnego pniaka, a tylko puszysty śnieg. To razem wyszliśmy bez szwanku. Na przyszły raz stosowałem bezpieczne silniejsze hamulce. Najgorzej było kiedy mróz dochodził do 50 stopni, zaprzęgnąć konia do sań to był problem nie lada, szczególnie zawiązać supoń tak zwany. Trzeba było tę czynność wykonać bez rękawic, a tu drzewo było tak namarzniałe, że jak żelazo przystawało do rąk. Albo w trakcie wywózki konie pod ciężarem męczyły się szybciej, oddychały, cały pysk i nozdrza zamarzały lodem, koń dusił się i padał. Iwan Iwanowicz wyznaczył jednego człowieka, który na trasie 3 kilometrowej naszej wywózki co pół kilometra czy nie pamiętam już ile... nosił gałęzie i rozpalał ogniska. Konie były tak wytresowane, że przy każdym ognisku zatrzymywały się, wystawiały pysk do ogniska i lód topił się, opadał i ciągnęły dalej do następnego aż do miejsca przeznaczenia. Droga znowuż pod ciężarem była rozbita, wywrotna, trzeba było skakać dookoła sań, przytrzymywać tak sprytnie... manipulować, żeby wóz nie przewrócił się, bo wtedy tragedia. Nawet trzeba było, na nowo trzeba było odplątywać łańcuchy, które trzymały drewno, no i na nowo układać, na nowo przywiązywać by za chwilę znowuż leżeć na boku. Pochłaniało to dużo czasu i nadproduktywnego wysiłku, dlatego też umówiłem się z Łotyszem, z tym Bergiem Robertem, nazwisko dobrze pamiętam, że będziemy wozić pojedynczo, ale jak tam się mówiło, na parę. W razie wywrotki to nie, we dwójkę można było wóz podnieść.

[00:00:00] Brancewicz_Józef_I-0139-3-B

JB: Bo po pierwszej wypłacie za wywózkę postanowiłem 200 rubli wysłać dla swojej matki, która mieszkała z siostrą na Wileńszczyźnie, tak zwanej zachodniej Białorusi. Sytuacja materialna ich była w tym czasie pod psem, ponieważ byli na kołchozie, dowiedziałem się później, że jednak z tych pieniędzy nie skorzystały, bo poczta zatrzymała na poczet podatków, których zalegały. W tej nie wiem kto tu, kilometrów, ile tam kilometrów od nas, to już ja wracam, było właśnie tam zbudowana elektrownia na energię drzewną. To znaczy w dobę zużywała ponad 300 metrów sześciennych, dlatego około 500 ludzi pracowało przy wyrębie i wywóźce drzewa. Została ona dużą część północnej, zasilala ona dużą część północno – wschodniej Syberii w energię elektryczną, która potrzebna była do oświetlenia, uruchomienia urządzeń kopalnianych, tak zwanych *zalatych prysków*, po polsku kopalni złota. To jak było większe miasteczko, około półtora tysiąca ludzi, były sklepy, 1 klub rozrywkowy, gdzie od czasu do czasu od wielkiego święta wyświetlano filmy, propagandowe oczywiście. Mieszkało tam 11 Polaków, w tej liczbie Józek Matwiejewicz i Staszka, o których już pisałem. Dali im mały drewniany domek. On pracował jako krawiec, często właśnie u nich zbierali się Polacy by trochę pogawędzić w gronie rodaków. Pewnej niedzieli, to jest w dniu wychadnym przyszlismy z tym Bergiem do tej, z tym Bergiem, z tym Łotyszem, z którym ja woziłem na spółkę, on miał tam swoją sympatię, była aktorką z Rygi, ja natomiast chciałem odwiedzić swego byłego sąsiada z Woli, Józka i Staszka, zostałem bardzo serdecznie... przyjęty, zrobili mi miłą niespodziankę, małe przyjęcie, zapraszając przy tym kilku jeszcze Polaków. Kiedy wzniosłem toast za Staszka i Józka otworzyły się drzwi i wpadł jak bomba mój Władek, były kolega, ten Stefanowicz, on też wybrał się ze swych Bruslakow w tym dniu do tej... miła niespodzianka. Rozmowa przy stole ożywiła się, humory coraz bardziej po kilku poprawiły się, Władek jak zwykle zaczął śpiewać wiązanek wojskowych piosenek. Na chwilę przerwałem, palnąłem przedmówkę a propos Józka i Stasi, że tą parę złączył los zesłańców na Syberii, że taka wciąż romantyczna, że więź romantyczna musi pozostać trwałą, nierozłączalną. Na dowód potwierdzenie moich słów poprosiłem obopólny pocałunek, a skoro spełnili na zakończenie powiedziałem: *Błogosławię wasz związek, niech on naprawdę będzie małżeństwem*. I zaznaczyłem, że jest nawet prawnoważny, ponieważ tu nie mamy Urzędu Stanu Cywilnego, władzy kościelnej ani takie przyrzeczenie szczere, bez żadnych formalności muszą być nierozzerwalne. Do końca życia one tylko wiążą trwale na dobro i zło. Władek nie wytrzymał, wstał i poprosił o głos. Nawiązując do referatu mego przedmówcy powiedział: *Życzę wam*

osobiście, żeby wasze przyszłe pokolenie rozmnażało się według słów ewangelii jak piasek w morzu i zasiedliło te duże i niedostępne tereny Syberii ZSRR, bo już byli pod kieliszkiem.

[3-B, 00:05:00]

A kto nie może kiedy, a kto wie, może kiedyś stworzy się potężna kolonia polska, która od wschodu zagrozi imperium wielkiej Rosji, wtedy naprawdę zrealizuje się przepowiednie Wernyhory i Polska nie tylko będzie od morza do morza, ale aż po Morze Arktyczne, biegun północny. Amen, powiedział siedząc vis a vis Janek Sławiński. Zaczął tradycyjną piosenkę sto lat, wszyscy powstałiśmy, dokończyliśmy tą popularną polską pieśń na cześć pary młodej. Potem Janek Sławiński opowiedział swoje przeżycia, że on jako... jest już na Syberii 2 lata, ożenił się z Agą Wasilówną, była dyrektorką naszego drzewnego przedsięwzięcia. Teraz jest tylko starszą księgową, bo wyszła za Polaka za mąż, zdegradowali od razu. Mają własny czteropokojowy domek, on nie pracuje, ponieważ ma na komisji lekarskiej został uznany za niezdolnego do pracy, kategoria 3, intrut tak zwana, a tych nie mogą zmusić do pracy. Zajmuje się wybitnie tylko polowaniem. Ma 3 psy, łajki syberyjskie, 2 dubeltówki. Wychodzi z psami w tajgę na kilka dni i wraca z łupem. Tu są takie obyczaje prawa, że pozwolenia na broń myśliwską nie żądają. Każdy może pójść do sklepu i kupić sobie fuzję. Jeżeli chodzi o zwierzynę, mówił dalej Janek, to tajga pod tym względem jest bogata, jest bardzo dużo niedźwiedzi, jeleni, reniferów, partwy, zające białe, srebrne lisy, gronostaje, bilice, no i masa głuszców, jarząbków. Potem zaczął opowiadać swoje przygody na polowaniu w tajdze i kontakty... z Tungusami. Opowiadał, że władze sowieckie chcieli koniecznie osiedlić Tungusów, w tym celu pobudowali dla nich osiedli i wydali nakaz. Niestety Tungusi nie podporządkowali się, dalej prowadzą tryb życia koczowniczego, hodują renifery, a główną gałęzią ich bytu jest polowanie. Ciągłe przebywają w tajdze, żyją prymitywnie w jurtach, skóry z rozbitej, zabitej zwierzyny sprzedają na punktach skupu zorganizowanych w tym celu przez władze. Właśnie prowadzą handel wymienny, bo na każdym punkcie jest sklep z artykułami pierwszej potrzeby. No i beczka spirytusu. Najgorszą plagą Tungusów jest pijaństwo. Piją kobiety, mężczyźni i dzieci. Potrafią nieraz przepić całą swoją... puźninę zapracowaną ciężko przez dwumiesięczną włóczęgę w tajdze, to też taki kierownik punktu chowa nieraz spirytus mówiąc do starszego rodu, że już wyczerpał się, Tungusi ze smutkiem opuszczają punkt i znowu na długo znikają w tajdze. Opowiadanie Janka bardzo mnie zainteresowało, szczególnie polowania, ale nie miałem ku temu warunków, a przede wszystkim czasu. Praca była przymusowa, za niestosowanie się do pracy bez ważnych powodów 3 dni podlegało

sądowi, który zazwyczaj na wniosek naczelnika kazał zaocznie na kilka tygodni areszty. Już dawno było i ciemno, a my wciąż jeszcze gawędziliśmy. Ciepło rodzinne było w domku państwa Matwiejewiczów. Z żalem żegnałem się z rodakami. Przede mną 15 kilometrów drogi przez tajgę. Wyszedłem na rzekę, gdzie było przetarta dróżka, mróz iskrzył się, było 40 stopni. Musiałem przecież na rano stawić się do pracy.

[3-B, 00:10:00]

Czekał na mnie mój mały konik, Barbasonik. Dostałem, dotarłem szczęśliwie, rozcierając od czasu do czasu twarz śniegiem. I znowuż pogrążyłem się w ciężkiej pracy. W końcu tygodnia dostaliśmy wypłatę 850 rubli. Nie miałem portfela, zawinąłem do chusteczki i włożyłem do kieszeni. Nazajutrz przy intensywnej pracy zapomniałem o pieniądzach, dopiero po powrocie do domu sięgnąłem do kieszeni, pieniążków w chusteczce nie było. W ciągłym ruchu załadowanie, wyładowanie stopniowo zawiniątko wysliznęło się z kieszeni aż zgubiłem. Zmartwiłem się bardzo, przecież trzeba było żyć i spłacać dług. Wracać i szukać to było bezsensowne, po pierwsza noc, po drugie las, śniegu po pas i 3-kilometrowa trasa przejazdu. Przed snem szczerze pomodliłem się do świętego Antoniego, zasnąłem, obudziłem się bardzo wcześniej i nękała mnie myśl, żebym natychmiast szedł do tajgi na poszukiwanie. Obudziłem swego współnika Stenberga, poprosiłem żeby po śniadaniu zaprzągnął razem i przegonił mego konia na miejsce pracy, a sam poszedłem do lasu. Wróciłem wolniutko po drodze, gdzie wozilem drzewo. Lekko przekopywałem śnieg nogą i nic. Wreszcie zacząłem sprawdzać miejsce koło stabli, gdzie brałem drzewo i o dziwo w jednym miejscu zauważyłem mały rąbek chusteczki kolorowej, znalazłem zgubę. Szczęście w nieszczęściu, pomyślałem. Śniadanie przywiózł mnie mój przyjaciel, on też cieszył się, że moja wyprawa była owocna. Obiecałem jemu, że na tą część, na jego cześć trud, że zaprzągnął i zaopiekował się moim koniem wypijemy ćwiartkę spirytusu. Wróciliśmy do domu zadowoleni, wywózka powiodła się w tym dniu dobrze, nie mieliśmy żadnych komplikacji, wywrotek i tym podobnych. Wieczorem otrzymałem list od matki i siostry. Przysłały adres mojej rodziny z Polski, która w 1946 roku repatriowała się do kraju. Rodzice natychmiast, natomiast rodzice nie chcieli wyjeżdżać, ponieważ wciąż tak jak wielu Polaków łudzili się, że Wileńszczyzna wróci do Polski. Ciężko było rozstawać się z rodzinną ziemią, gdzie od wieków żyli i umierali ojcowie i pradziadowie kosztem tradycji przywiązania głęboki w sercu. Woleli żyć między na... pomimo, że byli zdani na poniewierkę, aby utrzymać się na praojców ziemi i złożyć prochy swe w grobach rodzinnych. Polak niełatwo pozbywa się kart swej chlubnej historii. Trudno jest złamać jego

dumę narodową, wierzy niezłomnie w wielkość i potęgę swojego narodu. Wierzyicielem wypadło znowuż dla mnie data 19 marca, dzień moich imienin obchodzonych uroczyście w latach młodości mego życia, szczególnie uroczyście, bo ojciec mój nosił też te imię. W domu było stale dwóch solenizantów. Ile już lat minęło od tamtych pięknych chwil. Nikt już nie pamięta o tej... o tych chwilach, przez 11 lat nie uściskał dłoni, nie złożył życzeń. Postanowiłem pójść do tej, do mego przyjaciela, też Józka i skromnie, chociaż w gronie Polaków uczcić ten pamiątny dzień. Jakże było moje zdziwienie kiedy na stole państwa Józefowców zauważyłem całą batalię butelek z koniakiem i stół udekorowany berlinką. Okazało się, że wczoraj samolotem jakoby na nasze żądanie przywieźli do sklepu koniak, co się bardzo rzadko zdarzało w tych terenach. Józek skorzystał z okazji, zrobił zapas i na moje konto pierwszy z gości zjawiał się Władek, elegancko wygolony, chociaż

[3-B, 00:15:00]

w roboczym ubraniu, wszyscy byliśmy w takich ubraniach oprócz mego przyjaciela Józka, który jako krawiec zdążył już uszyć sobie ubranie. Przyszli potem jeszcze Staszek i Janek, zasiedliśmy uroczyście do stołu. Stacha jako gospodynia domu przygotowała jak na warunki syberyjskie wykwintne przyjęcie. Były nawet faworki i ciastka własnego wypieku. Posypały się toasty za nasze zdrowie i szczęśliwy powrót do kraju. Nastrój stawał się coraz weselszy. Władek zaśpiewał samotną syberyjską piosenkę Bredziaga. Staszek zaczął płakać, był bardzo wrażliwy i czuły. Opowiedział nam jak przed rokiem zaledwie pracował w obozie nad rzeką Pieczorą, między innymi było tam bardzo dużo Polaków, warunki były okropne, dużo jego kolegów złożyło tam swoje kości, nie wrócić już nigdy do swych matek, braci, sióstr i żon, pracowali przy bardzo... przy budowie nowego odcinka kolejowego. Ziemia na tych terenach jest stale zamrznięta. Po rusku *wieczna jest bierzlota*. Przy 50-stopniowym mrozie ryli kilofami tą ziemię, zmarzną. Byli podzieleni na grupy po 10 ludzi. Każda grupa musiała wykopać odcinek 100-metrowy. Na mecie końcowym tego odcinka wieszano w papierowej torebce 2 bochenki chleba jako przynętę, jako bodziec materialny dla szybszego wykonania zadania. A która pierwsza grupa szybciej dojdzie do metry otrzyma ten skarb w postaci zamrzniętego na kość chleba jako premię. Najbardziej chciwi byli Litwini i Łotysze. Padali z wyczerpania, ale za wszelką cenę starali się pierwsi dojść do przynęty. Za przykładem Staszka wszyscy pograżaliśmy się w smutnych i tragicznych wspomnieniach. Jeden tylko Władek nie tracił humoru, ciągle napełniał puste kieliszki koniakiem gruzińskim. Ja natomiast, aby przerwać ten coraz bardziej pogarszający się nastrój zaśpiewałem dawną towarzyską piosenkę,

precz od nas smutek wszelki i inni pochwycili, i od tej piosenki rozpoczęła się niekończąca się wiązanka wszystkich dla nas znajomych szlagierów, a nawet na zakończenie pieśń legionowa. Raptem całe towarzystwo ucichło. Staszek i Janek oparli o stół spali jak susły. Ja ułożyłem się na ławie, Władek obrał wygodniejszą pozycję, bo pod ławą, tylko jak przystało na gospodarzy ci ułożyli się na łóżku. Koniak jednak zrobił swoje, a i głowy też były niezbyt tęgie. Zbudziłem się jak świt i dyskretnie ulotniłem się do swego grodu Brzozowego Klucza. Czekala tam już na mnie żmudna praca. Ciężko było wytrzymać do wieczora, ale pomimo bólu głowy i złego samopoczucia wytrzymałem. Wieczorem poszliśmy na zebranie, które od czasu do czasu organizował Iwan Iwanowicz. Oznajmił nam, że musimy wykorzystać wszystkie rezerwy i przyspieszyć wywózkę drzewa, dlatego że zbliża się tak zwana przedwiosenna burga. Zazwyczaj w połowie kwietnia temperatura podnosi się do 23 stopni, zacznie padać gęsty śniegi i wieją silne wiatry, pracować w tym czasie nie można, bo nawet nasz Posiołek zamieci, że tylko będą widać kominy. Okres tej burgi nieraz trwa do 2 tygodni. Po prostu nie można wysunąć nosa z domu. Wobec powyższego sprowadziłem jeszcze kilka koni z tej, powiedział Iwanowicz i podnosząc stawkę za metr o 50 kopiejek wzięliśmy się ochoczo do pracy, bo mówiąc szczerze, burga nas nie obchodziła, ale 50 kopiejek to już było coś.

[3-B, 00:20:00]

W przeciągu 10 dni wszystkie drzewa z lasu były wywiezione na brzeg rzeki. W ostatnim dniu rzeczywiście burga zaczęła szaleć i ledwie zdążyliśmy wrócić do domu, konie zapadły po uszy w zaspach. Wiatr niósł śnieg z błyskawiczną szybkością, wył jak monotonne syreny. Nazajutrz nasze domki były zasypane po dachy. Przez okna tylko wyglądaliśmy się na zewnątrz. Temperatura zaczęła coraz bardziej się podnosić aż po kilkunastu dniach doszło do -5. Raptem wiatr ucichł. Zaświeciło słońce, śniegi w tajdze tajały w oczach. Temperatura rosła. Tworzyły się szumiące strumyki, które z hukiem toczyły się wody do rzeki tej, naszej jedynej drogi i trasy, która nas łączyła ze światem. Rzeka szumiała groźna aż pewnej nocy zaczęły pękać okowy lodowe. Zdawało się, że strzela artyleria, to jakby wystąpiła z brzegów zalewając niżej położone lasy. Z lewej strony natomiast i z prawej ogromne różnokolorowe skały tworzyły naturalną zaporę. Skały wyglądały fantastycznie. U dołu pieniające się fale i dalej... żłobione przez cios i wodę. Mieniając się w słońcu w rozmaitych kolorach. Dominował kolor granat, róż i beż. Okres przedwiosenny bardzo krótko, dosłownie kilka dni trwał. Śnieg puszysty znika szybko, tajga błyskawicznie się zieleni. Przyroda tak (nz), że przyspiesza swój okres wegetacyjny, stara się za wszelką cenę zdążyć przed wczesną zimą. Upiększyć kwiatami tajgę,

wydać owoc, kwitnie po 3 czereśnie, głogi, porzeczka czarna i borówka, robi się zamieszanie w powietrzu. Odważne, przylotne ptaki zakładają swoje gniazd, kaczki, pliszki, sroki, sukki i kruk. Niestety nasze kochane słowiki i wiele innych ptaków tu nie dociera. Człowiekowi z zachodu trochę dziwnie wygląda ten świat majestatycznej tajgi. Czuję jednak tę dziwną pustkę, a szczególnie przerażające nieprzebyta przestrzeń i tajemnica cisza, która po okresie przedwiośnie panuje całe lato, jedno co tylko zamęca przybrzeżne okolice tajgi to monotony i rytmiczny szum górskich rzek i strumyków. Ten szum może każdego wprawić w melancholię toteż wcale się nie dziwię, że miejscowi Tungusi są usposobienie bardzo powolnego, smutnego, mało mównego, nigdy nie widziałem na ich twarzy uśmiechu. Kiedy wreszcie rzeka opadła, a kra była nieduża, nasza robocza brać na zarządzenie Iwana Iwasza przeprawiła się łódkami na drugi brzeg i naszym zadaniem było rzucać drzewo wywożone zimą do wody. To też obowiązała norma, już w tej chwili nie pamiętam jaka, jednakże cały dzień rzucanie, mniej zarobiliśmy niż przy wyrąbce czy przy wywózce, a tak ponosić cały dzień szczepy surowego drzewa 20 metrów do rzeki to był duży wysiłek. Całą noc bolały kości i mięśnie. Drzewo te z prądem rzeki płynęło aż do tej fińskiej elektrowni, a tam wylapywano na placu opałowy. Drzewo też płynęło z góry do nas, bo 20 kilometrów od nas w górę rzeki był podobny Posiołek tak zwany *Zimowoje*. Na rzece nieraz powtarzały się zapory,

[3-B, 00:25:00]

ponieważ łożyska rzeki były skalne, drzewo piętrzyło się, dlatego były zorganizowane 3 brygady tak zwane (*nz*), mieli oni wyznaczone odcinki, kilkukilometrowe, na których musieli likwidować zapory. Pewnego razu dwie łódki przywieźli nas przez rzekę do pracy i popłynęli do tej po towar i chleb. Skończyliśmy pracę, już słońce zachodzi, a łódź przewoźników nie ma, nocować w tajdze nie zalicza się do przyjemności, ponieważ noce są chłodne, no i byliśmy głodni. Wołaliśmy, krzyczeliśmy, nie tylko echo niesło po tajdze, w końcu nasz brygadzysta oznajmił, że tak bywa, że przewoźnicy wracają na drugi dzień, bo załatwienie tych formalności trwa długo, a przed nocą przewoźnicy z ładunkiem nie ryzykują płynąc na małych łódkach w górę rzeki. Trudno powiedzieć, będziemy zmuszeni noc spędzić w tajdze. Będziemy palić ognisko to może nie zmarzniemy. Nie wszystkim ta propozycja się podobała. Znalazło się 4 śmiałków, w tej liczbie i ja, zbudowaliśmy prowizoryczną tratwę z kłoców drzewa. Gwoździ nie było, związaliśmy tak zwaną witkami z łoży. Tratwa początkowo trzymała się, wzięliśmy 2 długie kije, jako wiosła mieliśmy na zmianę sterować. Rzeką na wiosnę była wezbrana, woda lodowata, płynęła jeszcze lodowe gdzieś kry. 4 śmiałków odbiło od brzegu i

wypłynęliśmy na środek rzeki. Prąd silnie znosił tratwę i raptem pękły środkowe przęsła i tratwa zaczęła się rozdwajać. W tym czasie wiosłowali 2 Litwini, widząc niechybną katastrofę rzucili wiosła do wody, a za nimi sami. I ich wysiłek, pozostaliśmy we dwójkę, ale już bez wiosła. Tratwa z jednego końca rozdzieliła się i gdzie stał mój towarzysz coraz bardziej zaczęła się pogrążyć w wodzie. Zdecydowałem się na skok do wody. Zostałem sam. Prąd znosił szybko, byłem zdany na łaskę i niełaskę losu i prądu, ponieważ nie mogłem to znaczyć nie miałem czym kierować, sytuacja stawała się coraz gorsza, musiałem powziąć decyzję i za przykładem innych wskoczyłem do wody. Moja sytuacja była najgroźniejsza, bo w tym miejscu rzeka przepływała wśród wysokich skał, była węższa i głębsza, a prąd rwał silny. Zacząłem płynąć w ubraniu, było bardzo ciężko, nie mogłem pokonać szybkiego prądu, zbliżyć się do brzegu. Spróbowałem raz i drugi bez rezultatu, zmęczyłem się, położyłem się na plecy, a prąd parł naprzód. Zacząłem drzeć z zimna i nogi, błyskawiczna myśl, tonę. Nie wytrzymam dłużej i właśnie w tym krótkim, może półminutowym okresie mojej wyobraźni jak na ekranie telewizyjnym zaczęły się przesuwają obrazy, ale tak wyraziste, tak jasne obrazy przeszłości, a o szczegółach mego całego życia. Pomyślałem to jest charakterystyczny u topielców, zbliża się i mój koniec. Nagła myśl módl się i tam znajdziesz ratunek. (nz) do Boga i o dziwo wstępuje we mnie jakaś nadzwyczajna energia, nieludzkim wysiłkiem jeszcze raz spróbowałem przeciwstawić się prądowi spienionych fal. Wstrząsnąłem, wybrnąłem z najbardziej silnego środowiska prądu, płynę dalej kierując się do brzegu, tracę siły...

[00:00:00] Brancewicz_Józef_I-0139-4-A

JB: W tym momencie skały przybrzeżne były wyżłobione schodami, mogłem więc na jednym z nich zatrzymać się. Wyleźć z wody, trochę odpocząłem, nogi marzły i z całego zaczęła przenikać zimno, szybko zacząłem się wspinać do wierzchołka skał, tam już przez las biegłem co sił do Posiołka. Byłem zmuszony, zniesiony z prądem około półtora kilometra niżej, a na tratwie wystartowaliśmy 4 kilometry przed Posiołkiem w górze rzeki. W biegu pomyślałem, dobry dystans w lodowatej wodzie. Wpadłem do baraku, szybko zmieniłem ubranie, 2 Litwinów, moich towarzyszy siedziało przy piecu i popijało spirytus na rozgrzewkę. Położyłem od nich, pożyczyłem od nich w szklance 150 gramów, wychyliłem duszkiem i palnąłem jednemu i drugiemu w policzek. Wstali gotując się do bójek, powiedziałem: *To nie jest solidarność koleżeńska, po pierwsze rzucić wiosła do wody zamiast zostawić na tratwie, a po drugie zostawić na chybłą śmierć dwóch towarzyszy i nie przyjść z pomocą to tylko może zrobić człowiek bez czci i honoru.* Stali ze spuszczonymi głowami. Natychmiast kazałem, żeby poszli

ze mną na poszukiwanie czwartego towarzysza. Była już noc, księżyc świecił w pełni, szliśmy wzdłuż brzegu aż do miejsca, gdzie ja wylądowałem. Towarzysza naszego niestety nigdzie nie było. Zaczęliśmy krzyczeć, nawoływać, nic. Jeszcze przeszliśmy z 2 kilometry dalej bez rezultatu, tylko spienione fale odbijały się hukami od kolorowych skał, księżyc przeglądał się w toni tajemniczo. Wróciliśmy z powrotem, w Posiołku nie było łódki. Wzięliśmy 3 konie i oklapem jeszcze raz, ale już po rzece zlustrowaliśmy rzekę. Nic, tylko szum monotonicznych fal i z dala widniała łuna ogniska rozpalone przez naszych towarzyszy pozostałych na przeciwległym brzegu rzeki. Zdjęliśmy czapki i uczciliśmy krótką chwilą ciszy pamięci naszego czwartego towarzysza. Wróciliśmy do domu. Poczułem, że drzę na całym ciele. Jeszcze wziąłem ze 100 gramów spirytusu, wypilem z gorącą herbatą, położyłem się do łóżka i twardym snem zasnąłem. Nazajutrz po obudzeniu się zmierzyłem temperaturę. Była normalnie. Wrócił Iwan Iwanowicz z dyrekcji. Natychmiast poszedłem do jego kantoru, opowiedziałem o wypadku, wymieniałem jemu w ostrych słowach, że to jego wina, że tych z Posiołku są 2 łódki, że ludzie toną i nie ma komu i czym ratować, że cała brygada nocuje na zimnie w tajdze, że w ogóle z ludźmi nie liczy się i tak dalej. Iwanowicz wysłuchał spokojnie, na zakończenie powiedział: *Ja jestem też zesłańcem i chciałem dużo rzeczy zmienić, ulepszyć, starałem się w dyrekcji o lepsze warunki socjalne albo lepsze wynagrodzenie, niestety bez rezultatów. Nas to na Syberii zesłańców traktują marginesowo. Im nie chodzi o człowieka, ale produkcję złota, a ludzie, w sowieckim sojuzie wystarcza, obozy przepełnione, zastąpić nas mają kim.* Około południa wrócili ludzie, łódzie z chlebem i towarami, w pierwszym rzędzie przywieźli brygadę, która całą noc siedziała przy ogniskach głodna. Potem rozpoczęła się akcja poszukiwania topielcy, która trwała kilka godzin. Niestety trupa nie znaleźliśmy. Bystre, wiosenne fale zniosły daleko. 2 tygodnie później wyłapano w tak zwanym sztucznym jeziorze koło elektrowni, tam właśnie

[4-A, 00:05:00]

mechanicznie wylapywano drzewo, które my rzucaliśmy do wody. Skończył swe życie na posterunku pracy nasz biedny towarzysz Białorus, nazwisko jego już w tej chwili nie pamiętam. Pewnego razu przyszedł do mnie z tej Janek z żoną, żona jego miała urlop, prosili mnie, żeby im pomógł wyrąbać 100 pni drzewa na nowy dom. Janek Sławiński zdecydował postawić sobie willę, domek, w którym mieszkaliby. Był skromny, ofiarowałem swoją pomoc, ale tylko w niedzielę. Poszliśmy o lasu, który rósł nad brzegiem rzeki. Wyrąbaliśmy i oznaczyliśmy ślicznych wysokopiennych 100 modrzewi. Mój, oni piłowali, ja obrąbywałem z gałęzi, bo Aga

Wasilówna nie mogła poradzić siekierą. Do wieczora 35 pni było gotowych do transportu, resztę oni sami mieli spiłować przez następne 2 dni, bo ja musiałem pójść do swojej pracy. Następną niedzielę wzięliśmy 2 konie, Iwanowicz pozwolił i łańcuchem za wierzchołki ściągaliśmy budulec na brzeg rzeki. Nadmieniam, że las rósł na łagodnym wzniesieniu, które opada do koryta rzeki. Z transportem nie mieliśmy trudności, bo po konie lekko ciągnęły kłocę. Potem Janek przychodził w każdą sobotę wieczorem, zbijaliśmy na wodzie po 20 pni i spławialiśmy do tej, tam Aga Wasilówna wypożyczała z dyrekcji traktor i wyciągano na miejsce budowy. Robota szła szybko przy pomocy kolegów. Sprawnie. W każdą niedzielę pracowało społecznie kilka Polaków z Władkiem na czele, który był głównym inżynierem, architektem. Tak stanął ładny domek polski. Trzeba zaznaczyć, że Janek nie szczędził spirytusu, a Aga Wasilna dobrej zagryzki z mięsa niedźwiedziego. Szyneczka wędzona była pyszna. Jeżeli chodzi o formalności z budową to one nie stanowiły żadnego problemu. Niepotrzebne było żadne zezwolenia władz, żadne plany, nie lokalizacje, niepotrzebne były również zezwolenia na wyrąbkę lasu i opłata. Tajga była tak duża, że stanowiła odrębne swoje prawa wolne od wszelkich praw konwencjonalnych świata cywilizowanego. Mieliśmy wprowadzić komisariat milicji w tej liczącej kilka osób, ale jego zadaniem było tylko prowadzić ewidencję i meldunki tutejszej okolicznej ludności zesłanej. Ponieważ naszej legitymacji prowizorycznej nawet bez fotografii było drobnutko wypisane zarządzenie, że każdy mieszkaniec Syberii jako zesłaniec jest obowiązany pod karą z artykułu takiego i takiego raz w każdym miesiącu meldować się w milicji również pod karą, ale już z innego artykułu. Nie może samowolnie opuścić granicy danego rejonu. W innych wypadkach jak na przykład bójki, kradzieże, milicja nie interweniowała, chyba sprawa polityczna czy inna kontrrewolucja. Po pierwsze, nie mogła objąć swoją działalnością obszerne tereny, po drugie, miała szeroką siatkę swoich agentów i szpiclów rekrutujących się z personelu kierowniczego byłych komunistów, obecnie zesłańców skazanych na kilka lat pobytu na Syberii za ciemne sprawy przeszłości. Także ogólnie biorąc w tajdze dominowało prawo Syberii jaskiniowej, siła pięści, silniejszy zwyciężał. Poza tym miejscowe rodzinne ludność, tak zwane Tungusi mieli swoje odwieczne prawo oparte na wysokich walorach sumienności, koleżeństwa, poszanowanie cudzej własności. Jeżeli Tungus znalazł w tajdze ubitą zwierzyne

[4-A, 00:10:00]

czy w pułapce drogocennego gronostaja innego właściciela nigdy nie ruszył, natomiast napływowa ludność różnorodnonarodowa też trzymała się przyzwoicie, ponieważ byli to

więźniowie wyłącznie polityczni, a ten element ludzi zna prawo moralne świata. Przecież oni wszyscy walczyli i pochowali ideologię, która miała uzdrowić ich społeczeństwo i poruszyć serce skamieniałe egoistycznych władz. W końcu czerwca skończyliśmy pracę z drzewem, chodziliśmy na poręby i oczyszczaliśmy z resztek gałęzi, paliliśmy na miejscu. Tajga wyglądała prześlicznie, głogi rozkwitły, rozzieleniły się krzewy, karłowate, liściaste drzewa, strumyki nasze pocziwe, rzeka Teja przyciszyła swój ton szmeru, ponieważ wody opadli, tylko gdzieś tam były widoczne wierzchołki dużych skał spoczywających na dnie rzeki. Nad oporami rzeki gęstsze tajgi unosiły się chmury muszek syberyjskich, które stanowiły istną plagę dla zwierząt i ludzi. Te małe pasożyty atakowały człowieka z niebywałą zaciętością. Wsączały się przez najmniejsze otworki w ubraniu, gryzły jadownicę i słabsze, wrażliwe organizmy nie wytrzymały. Użądlenia spowodowały wysoką temperaturę i obrzęki ciała. Dzikie zwierzęta też ratowały się ucieczką. W dzień uciekały na dość odlegli wzgórza, na nagie szczyty skalne, tam powiew wiatru nie dopuszczał tych natrętów. Ludzie natomiast... szyli specjalne ubranie bez zbędnych otworów, na twarz i głowę siatkę, która tylko ochraniała od lecącej muszki, ale w trakcie zwinięcia skrzydełek przesączała się przez najdrobniejsze oczka siatki. To też sporządzono specjalny smar z dziegciu brzoźowego i sproszkowanego palonego rogu renifera. Ten preparat miał specyficzny, nieprzyjemny, odstraszający zapach. Smarowano nim co godzinę twarz i ręce. Każdy niósł, nosił w kieszeni butelkę tego śmierdzącego specyficznie specyfiku. Nawet Tungusi zahartowani od wieków i przystosowani do otoczenia tajgi smarowali się jak Murzyni na czarno tym nieprzyjemnym kosmetycznym kremem. Konie i psy też smarowano. Latem muszka, zimą mrozy dochodzące do 55 stopni. Piękna harmonia mieszkańców przepięknej, dzikiej tajgi syberyjskiej, dlatego z ludzi wolnych nie było odważnych, aby zaaklimatyzować się na stałe w tych romantycznych okolicach. Władze starały się usilnie zainteresować materialnie ochotników, dawali wysokie dodatki do poborów, tak zwane dalekiej północy i tak, kto przepracował 5 lat otrzymywał 25% całego dodatku od zasadniczych poborów. Po 10 latach 50%, a po 15 latach 100%. Niestety chętnych nie było, zostali tylko wyjątki, którzy chcieli całkowicie odseparować ją od cywilizacji świata XX wieku. Chcieli się cofnąć do prymitywów o kilkaset lat wstecz. Tu właśnie na tych bezdrożach i od najdalszej stacji kolejowej 1000 kilometrów mogli znaleźć to czego szukali. To mogli współżyć całkowicie z przyrodą. Zaznawać tej bezgranicznej i tajemniczej ciszy jaka panuje w odstępach tajgi. Tu właśnie mogli postawić swoje stopy tam gdzie żadna stopa ludzka jeszcze nie stanęła. Tu mogli spotkać niedźwiedzia czy głuszca, który w swoim życiu

[4-A, 00:15:00]

ujrzał pierwszy raz postać ludzką. Tu uciekł, urzekł ich i rozczarował przy pięknej, nieopisanej, cudowny widok zorzy polarnej, a monotonny szmer rzek syberyjskich koł ich zbolełe, zawiedzione serca. I chociaż Bóg nie dał isierki talentu poetyckiego naszych mistrzów Słowackich, Mickiewiczów, właśnie tam wśród tych niedostępnych kniei, wśród tej majestatycznej ciszy tajgi, kiedy byłem samotny wyciągnąłem notes i ołówek, i pisałem, pisałem bez zastanowienia się, a słowa, strofy, rytmy jakoby za pociągnięciem czarodziejskiej różdżki nanosiłem na nieśmiertelny papier. Spoczywają one do dziś pod głazem skalnym w świątyni mego samotnego dumania. Może w przyszłości jakiś zabłąkany myśliwy czy zwariowany poszukiwacz złota odgrzebie dzieje zesłańca Polaka, którego już tylko prochy świadczą o dalekiej przeszłości jego egzystencji pobytu w tym zakątku świata. Postawiłem tam krzyżyk drewniany i karłowatej brzoźki, symbol mego wyznania i mojej drogi krzyżowej. Wryłem tam szczyrykiem orła przeszyciego mieczem i słowa naszego hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła”. W początkach lipca Iwan Iwanowicz oznajmił nam, że cała nasza drużyna męska została odkomenderowana do Wałkawoj, położonej o 120 kilometrów od naszego Posiołku w górę rzeki. Tam będziemy do jesieni kosić siano dla naszych koników. Mieliśmy ich w swojej dyrekcji około 100. Zaczęliśmy zbierać wieczorem, przybyła jeszcze 10 ludzi z tej, której mieli uzupełnić liczebny stan naszej drużyny kosiarzy. Jakże było moje zdziwienie kiedy w tej grupie zobaczyłem Władka. Stał pośrodku łodzi i z daleka witał mnie. Byłem uradowany, że znowuż spotkałem starego druha Polaka. Załadowaliśmy 3 łodzie produktami i osobistymi rzeczami. Do każdej łodzi zaprzęgliśmy po 2 konie do orczyka, który łączył łódź długą 100-metrową linkę, na łodzi był ster w kształcie dużego wiosła, konie szły brzegiem i ciągnęły łódź, która wolno posuwała się w górę rzeki, tam to jest tak zwany limki, może to nie pisze, te limki właśnie to jest transport, bo tam nie ma żadnych dróg, absolutnie. To w górę rzeki konie tak zaprzęgają, nieraz 2 tygodnie ciągną te koniki taką łódź wyładowaną produktami czy czymś, one się nazywały linki, to jest... transport jedyny tam. Taka lokomocja na Syberii w tych okolicach jest aktualnie, ponieważ jak już kiedyś zaznaczyłem, innych lokomocji oprócz samolotowych tam nie korzysta się z braku lądowych dróg. Nieraz taką łódką nazywaną tam linką płynie się do odległej miejscowości po 2 tygodnie, szczególnie trudności są w poruszaniu się pod prąd, bo już z prądem jedzie się szybciej. Konie też załadowuje się na łódź. Jestem za, system zaopatrzenia w produkty żywnościowe i inne jest następujący, raz do roku kiedy jesień rzuci swe lodowe okowy, przepływają do ujścia rzeki okręty morskie z aprowizacją na cały rok dla

danego rejonu. Wyładowują w dużej bazie portowej, magazynują, mniejsze okręty morskie nawet dopływają do Igarki, portu nad jesienią, potem do tych baz dalej transportują barki, a jeszcze dalej w górę dopływu jeniec i dowozi właśnie ten mały konny łódź, linki.

[4-A, 00:20:00]

Motorówki nie mogą kursować, bo mniejsze rzeki syberyjskie są górzyste, a nieskaliste, usiane porowami i zdradliwą małą wiadome skałami. Na 3 dzień przybyliśmy do Wałakawoj, była to zapadła miejscowość w tajdze. Stał tylko 1 roboczy barek i mały domek w rodzaju gajówki. Mieszkał tam 1 zesłaniec rosyjski z żoną i 15-letnią córką. Obowiązkiem jego było stróżowanie tych państwowych budowli, stert siana i handel z Tungusami. 2 razy do roku tylko miał łączność ze światem. 2 razy do roku dostarczano mu towary, pocztę, a zabierano zakonserwowane czasowo puszniny, czyli skóry futerkowe wymienione od Tungusów. Najbliższe sąsiedztwo to był roboczy Posiołek położony o 100 kilometrów. Poza tym dookoła las i głuszcza tajgi. Zakątek ten od razu przyszedł mi do gustu. W duszy zazdrościłem temu Rosjaninowi. Obok przepływała nieduża rzeczka obfitująca w ryby, tak zwane harusy, podobne do naszych pstrągów o identycznym smaku. Rosjanin ten miał 2 dubeltówki i 3 ładne psy myśliwskie, łajki syberyjskie. Od razu zaprzyjaźniłem się z tą rodziną, kupowaliśmy u niego solone mięso niedźwiedzie i z głuszczy. Miał tych specjałów przyszykowanych na nasz przyjazd 2 beczki. Miał też duży zapas wędzonych ryb. Poza tym udało mi się kupić i przetransportować z Krasnojarska, aha, udało mu się kupić i przetransportować z Krasnojarska czyliczkę, którą wyhodował krowę. Braliśmy czasem od niego mleko płacząc słownie, że ten deficytowy płyn na terenach dalekiej północy, bo nawet mleko reniferowe też trudno było dostać. Pierwszą niedzielę naszego pobytu wypożyczyłem od niego dubeltówkę i 2 psy i poszedłem na polowanie. Zabiłem 2 głuszcze. Psy były wytresowane. Kiedy zapuściłem się w tajgę trzymając się rzeczki psy zaczęły węszyć podnosząc pyski do góry. Obrały kierunek, zniknęły z pola widzenia. Po pewnym czasie usłyszałem ujadanie z dwóch przeciwnych kierunków, poszedłem na odgłos najbliższego łamiąc za sobą gałązki krzewów i drzew. Byłem uprzedzony, że w ten sposób myśliwy w tajdze znaczy powrotną drogę. Zabłąkać się w tajdze to się równa ze śmiercią. Bywały wypadki, że taki zapalony myśliwy stracił orientację i zginął bez echa, dopiero po pewnym czasie Tungusi nachodzili szczątki i broń. To też stale przestrzegałem tej zasady. W końcu doszedłem do swego psa. Siedział pod dużym drzewem z głową uniesioną do góry i czekał. Podchodzę bliżej, bacznie lustrując wzrokiem gęstsze potężnej cedry i naraz zauważyłem, że pod samym wierzchołkiem siedzi z wyciągniętą szyją śliczny, ogromny

głuszec, samiec, król ptaków tajgi. Zmierzyłem się, pies już nie szczekał, tylko piszczał z radości. Padł strzał i król tajgi upadł pod nogi, nasze nogi. Drugi pies w odległości około kilometra na odległość strzału jeszcze bardziej zaczął ujadać. Zacząłem zdążać w tym kierunku, pierwszy mój pies już uprzedził mnie i dołączył do swojego towarzysza. W duecie robili harmider niesamowity. Tylko echo gdzieś w pobliskich górach odbijało się przeciągłym głosem. Wreszcie dotarłem do miejsca i zobaczyłem taki obrazek. Moje ogary z głowami podniesionymi do góry tańczą dookoła dużego modrzewia i szczekają na przemian, a czasami i dwóch naraz. W połowie drzewa na grubym sęku siedzi sobie

[4-A, 00:25:00]

zwrócony ku mnie król tajgi. Coraz pochyla głowę to na jedną, to na drugą stronę i bulgocąc głosem grubym matowym jakoby wyśmiewał się z głupich i bezradnych głosów szczekających psów. Przystanąłem, na odległość strzału około 60 kroków, powoli zmierzyłem się, pociągnąłem ze spustu, padł strzał i głuszec podniósł głowę, otrząsnął się głowę od piachu i dalej siedział, już w pozycji wyprostowanej. Przetarłem oczy, splunąłem i pomyślałem, patałasznik, spudłowałem i zacząłem mierzyć z drugiej lufy, ale w tym momencie przypomniało mi się, że mój gospodarz mnie uprzedził, że naboje są nabite drobnym śrutem i dlatego proponował mi strzelać z bliższej odległości i z boku, względnie z tyłu zwierzyna, ponieważ z dalszej odległości i z przodu głuszcza pióra są ułożone i twarde, a śrut ślizguje się po upierzeniu. Podeszedłem bliżej, zmieniłem pozycję z boku i palnąłem. Głuszec upadł, a psy dopadli, zaczęły tarmosić, tylko gęste pióra się sypały. Odgoniłem psy, wziąłem potężnego ptaka do ręki, zarzuciłem na ramię i po śladach łamanych gałęzi wróciłem do domu. W drodze rozważałem dlaczego po pierwszym strzale chybionym głuszec nie uciekł. Było to dla mnie dużą zagadką. Wiedziałem jeszcze z mych młodocianych pięknych lat polowania, że głuszcze są bardzo płochliwe i trudne do podejścia, tylko na wiosennych tokach można było podejść i wytropić na niedostępnych błotach, terenach głuszcza. Wtedy on bowiem w trakcie swego miłosnego śpiewu tracił na pewien moment słuch i wzrok, a myśliwy wykorzystywał tę sytuację. W domu podzieliłem się głuszcem z jednego, sprezentowałem, a jednego sprezentowałem gospodarzowi, a drugiego oddałem Władowi na kuchnię. Gospodarz rozszyfrował tę zagadkę. Powiedział mi, że tu właśnie w tajdze zdarzają się takie wypadki, ponieważ ptak pierwszy raz w życiu spotkał człowieka i psa. Uważa, że to są zwierzęta tajgi, a huk... spokrewnia z piorunem i dlatego nie są płochliwe i nie ucieka po spudłowanym strzale. Dowiedziałem się również, że cietrzewi tu nie ma, bo dla mojej, dla nich za ostry klimat, zimą nie wytrzymują.

Natomiast głąszce w okresie dużych mrozów zakopują się głęboko do śniegu. Robi takie śniegowe gniazdo i spędza wszystkie mroźne noce, a czasem nawet i dnie. Kiedy wróciłem do baraku po długiej pogawędce z gospodarzem, Władek już otuszył mego głąszca, który ważył około 6 kilogramów. Postanowił, postawił kociołek na wagę pośrodku...

[00:00:00] Brancewicz_Józef_I-0139-4-B

JB: On był starszym sierżantem w wojsku pogranicznym, zawodowym. No więc on był taki uparty strasznie. To już ja właśnie przeczytałem jego upartość. My stale z nim kłóciliśmy się. I teraz on 4 razy tu mnie odwiedzał, 1991 rok. Mam fotografię jego może nawet, bo był legionista. Walczył jeszcze w 1920 roku z Piłsudskim. Więc podziękowałem jemu uprzejmie, ale powiedziałem dlaczego namawia, przecież mamy wygodny duży stół. Odpowiedział poważnie: *Jestem Mazurem, ta ława przypomina mi ławę mazurską. W dzieciństwie z rodzicami stale spożywaliśmy posiłki wyłącznie na ławie. To jest tradycja i proszę stosować się do moich propozycji.* Władku, powiedziałem: *Czy tyś oszalał? Ależ to są tradycje przestarzałe, nadające się do lamusu, na pewno już na Mazurach teraz nie jedzą tak prymitywnie.* Nic nie pomogło, rogata duża mazurska nie ustępowała, dochodziło do ostrzejszej kłótni. W definicji uległem, usiadłem okrakiem na ławie i zjedliśmy apatycznie głąszca utuczonego w margarynie. Po tej ucieczce na drugi dzień po pracy, uczcie, na drugi dzień po pracy poszedłem nad rzekę z moim dawnym współpracownikiem z wywózki drzewa, Łotyszem, Robertem Stenbergiem. Wzięliśmy ze sobą widelce, zdjęliśmy buty i spodnie, brodziliśmy po rzece. Robert podniósł kamień, a z dna rzeki, a prawie pod każdym kamieniem był śliczny duży miętus, który po zdjęciu z niego pokryty spokojnie wił się na dnie rzeki. Celowałem w kark, wymierzyłem widelcem, w ten sposób przycisnęliśmy, trzymałem na dnie. Wtedy Robert brał go rękoma za oskrzele, uderzał głową o kamień i wsadzał do torby. Nałapaliśmy sporo. Władek znowuż ugasał nas po mazursku smażonymi wysmienitą rybką. Władek nie wychodził w tajgę, na ryby kilkakrotnie namawiałem go bez rezultatu. Obawiał się muszek. Organizm jego był uczulony czy uległy. Przecież musieliśmy kosić i suszyć siano. Brygadzysta nasz Rosjanin był służbista, nie pozwalał na samowolne opuszczenie pracy. Władkowi zrobił wstępu, pozwolił mu kosić nocą. Toteż Władek wychodził do pracy po zachodzie słońca i przychodził po wschodzie. Łąki były niedaleko nad brzegiem rzeki. Nie były to łąki uprawiane, po prostu samorodne na wiosennych rozlewiskach, częściowo oczyszczające z zarośli też miejscowy gospodarz, ale to dawało mały efekt, ponieważ każdego roku łąki zmniejszały swój areal porastając krzakami. Z koszeniem nie miałem kłopotu. Trafiła mi się pierwszorzędną kosa, bez

ostrzenia przechodziłem krótszy po trzy pokosy, a moi koledzy na każdym pokosie ostrzyli po 2-3 razy. Ja natomiast w tym czasie mogłem odpoczywać. Po wysuszeniu składaliśmy w mniejsze kopy, potem te porozrzucane kopy koniem ściągaliśmy do jednego miejsca i formowaliśmy duże stogi, a kiedy zimą rzeka zamarzła cały karawan, 50 sań, przyjeżdżał do Wałakowej i rozwoził do poszczególnych posiołków. Moim zadaniem w formowaniu stogów było złożenie kop potem. Miałem swego Barbasona, kilkakrotnie smarowałem jego dziegiem z... z gniadego przybierał kolor wronego i tak podjeżdżałem wierzchem do kopy, sadzałem zaostrzony drażek po dno kopy, przymocowywałem z wierzchu grubym sznurem bardzo mocno, żeby siano nie rozsypywało się i mój Barbason

[4-B, 00:05:00]

ciągnął po łące do przeznaczenia poszczególnych kop. Kiedy przy okazji spytałem naszego gospodarza pustelnika czy jemu to znaczy całej jego rodzinie taki tryb życia odpowiada czy nie tęsknił do życia zbiorowego, przecież tu na tym pustkowiu zdziczał on całkiem, mają tylko patefon sprężynowy i 2 razy do roku łączność krótkotrwałą ze światem, szczególnie najbardziej odczuje w przyszłości ich dziewczynka, przecież ona musi się uczyć, *zgadzam się z panem*, odpowiedział, *i dlatego czekamy nowego roku z utęsknieniem, w tym dniu skończy się jego termin zsyłki. Pojadę na Macieryk*. To znaczy na macierzystą ziemię, liczę dni i godziny do tego terminu. Ich oswobodzenie. Sprzedadzą krowy i polecą samolotem. Od początku mojej zsyłki myślałem tylko o dniu oswobodzenia, o dniu nieograniczonego szczęścia. Każdy z tych mieszkańców kiedy usiądzie do samolotu lecącego do Krasnojarska patrzy jak dziecko z radości, *gdyby pan tu był zimą*, powiedział mój rozmówca, *ogarnęłaby pana zgroza, siedzimy nieraz zaśnieżeni po komin, całą zimę walczę ze śniegiem, żeby tylko dotrzeć do chlewika gdzie stoi krowa, aby ją wydoić, nakarmić i napoić*. Dobrze, powiada, *że tu niedaleko jest taka ciepła kryniczka, która zamarza do pół metra, z niej mamy wodę, ona nas ratuje od tragedii*. Trzeba było topić śnieg, *ponieważ rzeka zamarza zimą do dna*. No dobrze, powiedziałem, *a co z rybą? O rybę, ryba daje sobie radę, rzeki*, rzekł Rosjanin, bo kiedy pierwszy liść opada z drzewa, ryba instynktownie wyczuwa zbliżającą się zimę i masowo ucieka do Jenisieja albo do Leny, gdzie rzeki nie zamarzają do dna, w tym okresie ryba idzie lawiną, zatrzymuje się gromadnie w zatoczkach, mówię panu, wtedy można łapać zwykłym koszem, beczki całe, ale co zrobić z tej ryby? Nie ma zbytu, a państwo nie może eksploatować, bo transport samolotowy nie odpowiada, zbyt kosztowny. Ja proszę pana mam zagrodzoną tą rzeczkę, zaporę kombinowaną, zbitek łożowych. Zrobiłem tam małą sadaweckę, gdzie zatrzymuje się ryba. Każdy dzień bez

żadnych wysiłków mam świeżą rybę ile dusza zapagnie. Niemniej jednak żegnam te przeklęte tereny na zawsze i proszę Boga, żeby nikt z mojej rodziny nigdy nie trafił, gdzie sam Lucyfer mieszka i rządzi tym krajem. Ja jednak odchodząc od nich powziąłem zdecydowaną decyzję, będę się starał od nowego roku o jego następstwo, mnie żadne argumenty ujemne nie przestraszały, pokochałem tajgę, pragnąłem tej właśnie całkowitej separacji, pragnąłem cofnąć się kilka wieków wstecz, uciec od przeklętej cywilizacji i fikcyjnej kultury. Tu będę żył tylko z przyrodą, tu będę rozmawiał z tajgą, tu nikt nie zakłóci harmonii piękna i poezji. Wróciłem do codziennego zajęcia, Kosowiska, dobiegało końca, zbliżał się wreszcie pierwszy miesiąc syberyjskiej zimy. Pewnego dnia skończyliśmy pracę. 50 stogów świeżego sianka stało na pokosowisku, brygadzysta mierzył, liczył tony i sporządzał listę zarabianych dniówek. Czekaliśmy na przybycie łodzi i odjazd. Brakowało chleba, bo już pożyczyliśmy 1 worek mąki od gospodarza. Gospodyni piekła nam chleb. Płaciliśmy dla niej za jej

[4-B, 00:10:00]

upieczenie. Władek denerwował się coś, jego ciągnęło do tej, namawiał mnie na wędrowkę na pieszą. Mnie się nie spieszyło, chciałem skorzystać z wolnego czasu, pobrodzić samotnie po tajdze. Prawie stale przynosiłem głuszca, każdy raz jednak miałem wyrzuty sumienia, zdawało mi się, że popełniam grzech przeciw naturze i przeciw prawu tajgi. Niszczyłem piękne okazy, które jakoby stanowiły dekorację pięknego krajobrazu syberyjskiego. Nieraz myślałem dlaczego na tym świecie istnieją takie niehumanitarne prawa natury, wzajemnego pożerania się, prawie walka o byle egzystencję, jakie to niskie i podłe, po co człowiek musi jeść, wystarczyłoby tylko oddychać powietrzem. Wieczorem przy kolacji Władek stanowczo oświadczył, że jutro o świcie, on był taki, teraz taki jest, rzuca piękna Wałakowoja i wraca na pieszo do tej. Nic nie pomogło moje perswedy. Mazur był nieugięty. Cóż, musiałem być koleżeński, uległem przemocy. Obudziliśmy się przed świtem, przygotowaliśmy później śniadanie, do worka włożyłem zabitego głuszca i kanapki, wzięliśmy do ręki grube podróżne sękate kije i dwóch wędrowców puściło się w podróż przed siebie kierując się na południe do rzeki Tej. Mieliśmy iść na przełaj przez tajgę koło 10 kilometrów, potem już cały czas z biegiem rzeki. Najgorzej było właśnie ten odcinek do rzeki, jedyne szczęście, że były jeszcze ślady wozów, które jechały w tą stronę wioząc nam wtedy przez tajgę, przez dżunglę torując się toporami drogę. Szliśmy przepisowo odpoczywając co godzinę 10 minut. Naraz Władek krzyknął: *Józek, zobacz, świeża ścieżka bosych stóp*. Podeszedłem bliżej i rzeczywiście zauważyłem na podmokłym gruncie ścieżkę, ale nie ludzka. Tędy niedźwiedzie przechodziły

do rzeki. Olejniak dopływu, leny popijając sobie źródłem wody i łapiąc smakowite rybki. Byliśmy więcej ostrożniejsze, obserwowaliśmy lepiej przedpole. Około południa doszliśmy do naszej rzeki Tej. Przeszliśmy pasmo górskie, które dzieliło 2 dorzecza, Jenisieja, pasma rzeki wiodące na północ, a już na Teja, która mały włos nie pochłonęła mnie na zawsze. Toczyła swe wody na południe, tu zatrzymywały się nad... zatrzymaliśmy się na dłuższy czas. Naraz w tajdze na zwykłej płaszczyźnie można było spotkać dziwne ogromne głazy, a czasem potężne skały stojące samotnie. Właśnie przed nami widniał ten fantastyczny stwór. Wyglądało to jak skała jak jakaś niezdojta twierdza porośnięta mchem i karłowatymi drzewkami. Zapropomowałem w połowie, żebyśmy wdrapali się na szczyt tej skały. Zauważyłem, że północne zbocza są łagodne, a wyłobione podobne do schodów. Jak zwykle tak jak teraz Władek był przeciwny. Zdecydowałem na samotną wspinaczkę i z łatwością zdobyłem szczyt, który tworzył obszerną skalną płaszczyznę. Usadowiłem się na dużym głazie i podziwiałem piękną panoramę tajgi i symfonię barw jesiennych. Po chwili uparty Mazur też dołączył do mnie. Zapaliliśmy papierosa, pogrążyliśmy w zadumie, siedzieliśmy chwilę w milczeniu. Naraz ze szpar skalnych jakby zwabieni naszą obecnością zaczęły wyłazić śliczne syberyjskie zwierzątka, tak zwane bunduruki. Było ich mnóstwo. Naliczyłem 50. I przestałem rachować, bo zwierzęta otoczyły nas ze wszystkich stron. Usiadły na pewną odległość

[4-B, 00:15:00]

na tylnych łapkach, przednie natomiast podnosiły jak do modlitwy przed siebie, bystrzymi oczkami przyglądały się nam z ciekawością. Ja byłem zachwycony tym widokiem, szczególnie ich pięknym, małym, bardzo ładnym w prążki podłużne skórą. Władek zaniepokoił się, gwizdnął składając palce do buzi. W jednej chwili zwierzątka skryły się. Zacząłem rugać Władka, że pozbawił mnie tego pięknego widoku, ale Władek miał zawsze szybką odpowiedź w swoim repertuarze: *Chciałeś, powiedział, żeby nas zagryzły jak Popiela to raczej musisz być wdzięczny za moją szybką, zdecydowaną obronę.* Powiesiłem naszą podróżną torbę z bagażem i głuszcem na jego szyi, powiedziałem: *Za bohaterstwo i męstwo dekoruję twoją pierś krzyżem walecznych i nieś godnie jak gieroj dalekiej północy aż do Tej.* Władek skrzywił się, biedak dźwigał posłusznie nasz prowiant. Przed wieczorem zatrzymaliśmy się na suchej, przybrzeżnej, północnej polance na nocleg. Nanosiliśmy duży zapas suchego drzewa, zrobiliśmy z kamienia prowizoryczne palenisko. Zająłem się pieczeniem głuszcza. Po wyproszeniu z piór oblepia się gliną i wkłada się do kamiennej dochówki. Pieczeń była pyszna. Została jeszcze na następne 2 dni. Całą noc podsycaliśmy ognisko na zmianę. Rano ledwie świt 2 sybiraków wyruszyło w

dalszą podróż. Jeszcze jedną noc spędziliśmy w tajdze, wieczorem dotarliśmy do Brzozowego Klucza. Po drodze nazbieraliśmy borówek, ugotowaliśmy dzem na kolację. W Brzozowym Kluczu odpoczywaliśmy kilka dni nim wszyscy nie wrócili z Wałakowej. Iwan Iwanowicz z brygadzystą obliczyli naszą pracę, sporządzili listę płacy, potrącili zaliczki i dostałem na rękę 450 rubli. Za namową Władka postanowiłem przenieść się na stałe do osady Tej. Dostałem zezwolenie od Iwana Iwanowicza. Po pierwsze w Tej mieszkało około 20 Polaków, zawsze to w gronie rodaków było rażniej. Po drugie, coś zdrowie zaczęło nawalać, chciałem być bliżej lekarza, który był w Siewierienisiesku, 30 kilometrów od Tej. Tam można było łatwiej się dostać, ponieważ od czasu do czasu jeździły fury po prowiant. Dla najważniejsze to postanowiłem stanąć na komisję lekarską i dostać 3 grupę roboczą i wtedy mnie zobowiązywali prawa obowiązkowe, nie zobowiązywały prawa obowiązkowej pracy. Miałem starać się dostać pracę lżejszą na tym pustkowiu Wałakowej. Ciągle marzyłem o tym. Na razie zamierzałem, zamieszkałem u Józków, o których już pisałem. Dawałem, którym dawałem ślub. Staśka nie pracowała toteż wyłącznie zajmowała się gotowaniem nam posiłków. Pracowałem w transporcie drzewnym, w nocnej zmianie. Moim zadaniem było wyciągać na koniu kłoce drzewne z brzegu rzeki do piły mechanicznej. Była robota bardzo ciężka, ponieważ pracowałem sam, a przez pnie drzewa były ogromne, nieraz po półtora fest metra, trudna sytuacja życiowa wszystko nauczy, wyspecjalizowałem się w tej dziedzinie i zakładaliśmy gruby łańcuch na najgrubszy koniec pnia, tak zwany komel i przymocowywałem

[4-B, 00:20:00]

krótko do przodku kół, potem koniem pod kątem 45 stopni wyciągałem kloc na koło i silny koń przez pociągnięcie stawał przodek w przewróconej pozycji i przymocowany do kłoz. I cały pień bez większego z mojej strony wysiłku leżał już na kołach. Tak przez nocną 10-godzinową zmianę wywoziłem po 60 kłoców. Zarabiałem około 30 rubli dziennie. 20 rubli utrzymanie, opał i pranie, 10 mogłem zaoszczędzić. Kupiłem sobie materiał liche na ubranie, koszule wierzchnią, bieliznę, pościel i siennik. Pewnego dnia zwolniłem się z pracy i pojechałem do Siewierjenisieska na komisję lekarską 1-osobową. Mieliśmy w tym dużym i rozległym okręgu tylko jednego lekarza z urzędu. W poczekalni siedziało i czekało na przyjęcie około 30 osób. Wszyscy sybiracy. Przeważnie z zarostem. Ja też miałem czarną dużą brodę i wąsy i wyglądałem typowo. Wrócić, wreszcie drzwi od gabinetu lekarza otworzyły się, wyszła siostra. Popatrzyła na nas badawczo i powiedziała po rusku: *Siewodnia wracz tylko przyjmi 15 balnich*. I rozpoczęła wybierać i zapisywać pozornie jej przyjęcia najbardziej chorych. Podeszła również

do mnie, zmierzyła wzrokiem od stóp do głowy, oświadczyła: *Wy stary przyjedziecie śledszym razem, na primier, (nz)* i poszła do następnego. Przyglądałem się jej badawczo, była bardzo podobna do mojej wujenki, która to w Pankiszkach jak już opisywałem została aresztowana przez rzekomo polskich partyzantów, potem osadzona, wywieziona w głąb Rosji, a aktualnie na daleką Syberię. Ona właśnie w czasie śledztwa zdradziła miejsce schronu i tym samym przyczyniła się do mego aresztowania. Chociaż rozmawiała po czysto rusku i miała ubranie pielęgniarki jednak byłem więcej niż przekonany, że to ona właśnie. Kiedy skończyła segregację i rejestrację podszedłem do niej i też w języku rosyjskim zacząłem ją przekonywać, że muszę być dzisiaj przyjęty, ponieważ mieszkam bardzo daleko, bo aż w Teji i na następny raz nie otrzymam zwolnienia z pracy. Była niestety nieugięta. Powiedziała, że ją to absolutnie nie obchodzi i że ona wykonuje tylko zarządzenie lekarza. Zdenerwowałem się i w języku polskim powiedziałem: *Szkoda, że ludzie są tak zmienni jak kameleony. Tam gdzie muszą być nieugięci i trzymać się, trzymać język za zębami, śpiewają jak kanarki, a gdzie potrzeba zrozumienia i ludzkości są ślepi i nieugięci. To jest bezcelny szczyt egoizmu.* Janka, bo była to właśnie ona, rozpoznała mnie po głosie ojczystej mowy. Chwilę stała jak piorunem rażona. Drżała na całym ciele. Zrobiła duże oczy i policzki zbladły na moment, zarumieniła się, ale nagle rzuciła się mnie na szyję i zaczęła całować szepcząc: *Józek, przebac, przecież jestem słabą, bezbronną kobietą.* Lekko ją odepchnąłem i stanowczym głosem powiedziałem: *Proszę nadal wykonywać swoje obowiązki, a dyskusje, usprawiedliwienie na później.* Odeszła speszona i mocno przygnębiona do gabinetu lekarza. Za chwilę wyszedł lekarz i wywołał moje... pierwsze nazwisko. Cóż miałem robić, poszedłem. Janka siedziała w kąciu i płakała. Byłem przekonany, że to dryg aktorski, przecież na Woli ją dokładnie poznałem. Doktor kazał mi się rozebrać do połowy, zbadał, napisał zaświadczenie, że do ciężkiej roboty nie nadaje się z powodu wrzodu żołądka, dał 3 kategorię roboczą, po rusku 3 *intru*. Miałem teraz możliwość wyboru pracy i swoje marzenie mogłem

[4-B, 00:25:00]

zrealizować, osiedlić się w głuszy tajgi w oddalonej o 120 kilometrów Wałakoj. Odseparować się w 100 procentach od świata i żyć jak pustelnik, tylko wyłącznie na łonie natury. Podziękowałem lekarzowi, ubrałem się i już wychodzę. Janka zastąpiła mi drogę, zwróciła się do lekarza, żeby ją zwolnił na dzień dzisiejszy, ponieważ ja jestem jej kuzynem i tyle lat nie widzieliśmy się, a teraz spotkaliśmy się przypadkowo i ona chce mnie ugościć i porozmawiać. Lekarz zgodził się. Wyszliśmy razem, na ulicy szliśmy obok milcząc. Wreszcie Janka zaczęła

swoje dyplomatyczne usprawiedliwienie, że ona była głupia, że ona nie przypuszczała tak przykrych następstw. Potem zaczęła opowiadać, że w czasie jej śledztwa stosowano nieludzkie represje, że psychicznie nie wytrzymała i powiedziała wszystko co było w jej kompetencji. Na zakończenie poprosiła mnie o przebaczenie. Powiedziałem: *Trudno, już się stało, pokutujemy we dwójkę za twą lekkomyślność, a że jesteś szczerą i przyznajesz się do błędu wobec tego przebaczam*. Janka jeszcze raz mnie ucałowała i koniecznie prosiła mnie, żebym wpadł do nich do domu, bo ona już 3 rok jest na zsyłce w Siewierjensiejsku, wyszła za męża za Rosjanina, nauczyciela, który miał własny dom i pracuje jako buchalter w biurze kopalni złota. Tu muszę nadmienić, że w Siewierjensiejsku były największe, najbardziej produktywne kopalnie złota. Zgodziłem się i złożyłem im wizytę. Mąż jej owszem, był sympatyczny, myły jegomość. Kiedy Janka krzątała się w kuchni szykując przyjęcie obiadowe, jej mąż opowiadał mi swoje przeżycie. Mieszkał już tu 6 lat. Też jako zesłaniec, zarabiał nieźle, bo dostawał już 25 procent dodatku północnego do poborów. Janka też zarabiała, ale cóż z tego kiedy wszystko przepijali. Janka stała się nałogową alkoholiczką. Codziennie po pracy piła na potęgę. Spodziewała się, sprzedawała na wódkę nawet niezbędne przedmioty z gospodarstwa. *Ja w zasadzie, ciągnął dalej jej mąż, nie piłem wódki, byłem nawet abstynentem, ale więzy jakie złączyły nas i mnie, i siłą rzeczy wypaczyły. Teraz pijemy razem, może i dobrze robimy, bo przecież tu na Syberii nikt nie wzbogacił się, a dorobić się nie ma sensu, bo kiedy przyjdzie czas, że opuścimy te niegościnne tereny samolotem z bagażem 10-kilogramowym i tam dopiero na Macierku rozpoczniemy życie na nowo. Taki już jest los każdego zesłańca, sybiraka*. W pierwszym rzędzie przy nakryciu stołu ukazał się litr spirytusu, potem Janka pobiegła, zaprosiła jeszcze jednego Polaka, Tadeusza, byłego inżyniera, architekta, no i zaczął się bal. Po kilku kieliszkach Janka zaczęła śpiewać dawne tanga i przeboje, pamiętam, ona miała bardzo ładny głos, śpiewała tam w Pankiszkach jeszcze. A rozpoczęło się od *Gaude Amos Igitur Juvenes...*

[00:00:00] Brancewicz_Józef_I-0139-5-A

JB: Na tych koniach, które pracowały w naszej instytucji, to znaczy my zaopatrywaliśmy tą elektrownię, co pochłaniała 300 chyba metrów na dobę drzewa, tu pracowało 500 ludzi, już ja nie pamiętam w tej chwili ile koni, 50 czy coś i te 50 koni musieliśmy zaopatrzyć przecież w siano, więc my suwali do odległej miejscowości, która nazywała się Wałakawoja i tam były takie łąki samorodne wśród tajgi i tam kosiliśmy te siano i potem składaliśmy na duże stogi i zimą, bo dróg tam nie było, zimą kiedy już drogi zamarzli rzeka to wtedy koniki zaprzęgaliśmy do sań, jechaliśmy tą rzeką aż do tej Wałakawoj i tam zbieraliśmy siano na pokarm. I tam na

Wałakowej było coś w rodzaju leśniczówki, tam mieszkał jeden zesłaniec, Rosjanin ze swoją żoną i córka taka nieletnia była, może 12 czy ile lat i mieli oni tam krowę, no i ich zadaniem było, i mieli sklep, to znaczy larok z towarami zamiennymi i handlowali z Tungusami, a jak ja już opowiadałem zdaje się, że Tungusi tam prowadzili koczowniczy tryb życia i władze sowieckie chcieli ich osiedlić, pobudowali nawet domki i tego, nic nie pomogło, oni znowuż w tajgę wyjeżdżali, prowadzili taki prymitywny tryb życia, jurty, renifery, no i polowaniem trudnili się, tam masa była gronostaji, niedźwiedzi i oni te skóry potem przyjeżdżali na taki punkt, gdzie był w Wałakowej i w innych miejscowościach, tych ośrodkach takich syberyjskich, przyjeżdżali i wymieniali ten towar... skóry na towar, bo pieniądze to im niepotrzebne były, bo one nie kursowały te pieniądze, dlatego że oni wiecznie w tajdze, więc oni pierwszej potrzeby brali, sól, mąka... potem proch, przede wszystkim zaopatrzenie, strzelby i tak dalej. I my tam właśnie kosiliśmy całe tego. I potem jak skończyła się zima, więc musieliśmy czekać na łódki, bo z powrotem trzeba było jechać już łódkami i konie, i łódkami w górę rzeki to już konie ciągnęły brzegiem i to limki tak zwane te łódki. Nie pamiętam jaka odległość tych limek, długość raczej może 100 metrów czy coś i konie ciągnęły brzegiem, a tam cały ładunek był na tej łódce i tam kierował Panie tym sterem takim prymitywnym i to jechało się w górę rzeki nieraz tygodniami całymi. I my czekaliśmy już na powrót, cała ta brygada, że przyjdą łódki i my przyjedziemy, ale łódki nie przychodziły, zawsze tam organizacja była pod psem jak wiadomo i my ze Stefanowiczem, tym Władkiem, Polakiem, postanowiliśmy iść na pieszo. I wracaliśmy na pieszo. To było ponad 100 kilometrów chyba, może więcej. I tak wracaliśmy zimą z powrotem na pieszo. No mieliśmy tam przygody w drodze, ale wróciliśmy do tej Tei. I tu piszę, po przyjeździe do Tei zacząłem starania o miejsce po nowym roku w Wałakowej. Ta miejscowość właśnie, gdzie my kosiliśmy to siano, mnie urzekła. Ciągle marzyłem o samotności, wprawdzie taki tryb życia był... z punktu widzenia logicznego niebezpieczny, ponieważ samotny człowiek, który miał tylko łączność ze światem 2 razy do roku był narażony na nieprzewidziane zdarzenia i wypadki jak choroba, kalectwo i temu podobne, ale to mnie nie przstraszało. Czułem, że podołam wszelkim przeciwnościom

[5-A, 00:05:00]

że tam znajdę ukojenie swego burzliwego życia. Naczelnik, do którego się zwróciłem w tej sprawie dał jednak warunki, że muszę się ożenić, a wtedy załatwi sprawę pozytywnie. Nie zgodził się, żeby tam pracował samotnie. Twierdził, że nawet z tytułu prawnego on nie może zatrudnić samotnego człowieka na takim oddalonym punkcie, gdzie nie ma żadnych łączności.

Jeżeli tak koniecznie podoba mi się ta praca to radził, żebym założył, złożył podanie do wyższych władz do Krasnojarska. W międzyczasie nawiązałem kontakt z Polską. Już za pośrednictwem matki i siostry, które zostały na Wileńszczyźnie. Reszta rodzeństwa, brat Marian i trzy siostry, Genia, Pola, Renia repatriowali się do Polski i po wędrówce po całym kraju nareszcie osiedlili się na stałe w Karpaczu. Otrzymałem list od siostry Gieni. Pisała dzieje naszego rodu w czasie mojej nieobecności, poza tym przysłała mnie wyzew do Polski, którego niestety władze sowieckie nie... honorowały. Dowiedziałem się również z jej listu, że była moja sympatia, panna Zosia, ta obecnie żona moja, nie wyszła za mąż i mieszka z matką w Białymstoku. Przysłała jej adres. Postanowiłem napisać, chociaż na wspomnienie lat młodości ocknęły się uśpione uczucie, wiedziałem jednak, że one są nierealne. Zosia nie pokocha mnie nigdy. Jej serce i uczucie posiadał ktoś inny, który zamiast szczęścia, dał jej cierpienie i rozczarowanie. Wiedziałem również, że tylko rozsądek z jej strony może zrealizować moje marzenia, a jednak napisałem. Po pewnym czasie otrzymałem list i krótki, kilka tygodników prasy polskiej. Byłem za to jej bardzo wdzięczny, bo już od kilkanaście, kilkunastu lat nie czytałem słowa ojczystego. Postanowiłem również napisać do swojej dobrodziejki, która ratowała mnie paczkami od śmierci głodowej w obozach, Wandy Mackiewiczówny, już tutaj nazwisko można napisać. Napisałem jej szczerze, że powziąłem decyzję osiedlić się w Pustkowie, że mam trudności, ponieważ władze nie chcą mnie zezwolić, dlatego że jestem samotny. To ta idealna dziewczyna kiedyś kochała się we mnie, ja ją natomiast bardzo lubiłem, moje... propozycje były trochę egoistyczne, przecież kraj Syberii tam w sercach Polaków brzmi złowrogo, każdy na wspomnienie o Syberii drżał ze strachu, niektórzy wybierali śmierć by nie trafić na białe niedźwiedzie. Mówiąc szczerze to już od wieków, od kilku pokoleń Syberia była symbolem katongi i męczeństwa narodu polskiego. Trafnie ujęli nasi poeci Mickiewicz na te prześladowanie, represje, kibitki, bezdroża syberyjskie, gdzie tysiące naszych bohaterów i patriotów złożyło swe kości za ojczyznę, a ja śmiem proponować jej przyjazd, zamieszkanie na stałe w tym przez Polaków przeklętym kraju. Z treści jej odpowiedzi na mój list wywnioskowałem, że jednak długo walczyła ze sobą by podjąć ostateczną decyzję, ale w końcu obowiązki rodzinne wzięły górę, opiekowała się chorą matką, której przecież nie mogła zostawić. Wczułem się w jej sytuację i miałem wyrzuty sumienia

[5-A, 00:10:00]

że mogłem coś podobnego jej zaproponować. Dzisiaj kiedy już jestem u schyłku życia, kiedy karta mojej historii i przeszłości jest zapisana długimi tomami, mogę powiedzieć szczerze i otwarcie, że ta kobieta zasługuje na największy szacunek, że takich szlachetnych i sentymentalnych ludzi nigdy nie spotkałem na swojej drodze życia. To już, to jest ideał w pełni słowa tego znaczeniu. Niestety los jej nie oszczędził. Nie znalazła pokrewnej duszy, która by ją zrozumiała i oceniła. Pozostała starą panną. Przecież na Syberii było dużo kobiet, dziewcząt zesłanych, było dużo patriotek, które walczyły po męsku za swą ojczyznę i niepodległość, za co skazane zostały i znalazły się wśród nas. Można było wybrać, można było złączyć swe losy na zawsze, szczególnie że wiązały nas te pokrewne warunki, ale cóż było... było. Ale cóż to było. To te dziewczęta innych narodowości, inny język, inny obyczaj, nieznane przecież i to właśnie stało mi na przeszkodzie. Nie chciałem wiązać ręce i potem rozczarować się, dlatego pozostałem sam jak wielu z nas. Jeżeli chodzi o kobiety to wręcz przeciwnie, za wszelką cenę starały się znaleźć sobie przyjaciela. Nie patrzyły, że był żonaty i dzieciaty, zgadzały się na pierwszą propozycję, było dużo szczególnie Ukrainek, trzeba przyznać obiektywnie, że tej narodowości dziewczęta są dorodne, przystojne, gospodarne, zapobiegliwe, ale nieraz chatko było patrzeć jak taka dziewoja o ślicznych długich warkoczach i (nz) marzących oczach połączyła swe losy ze starszym o kilkanaście lat żonatym siwiejącym mężczyzną. Niektóre wychodziły za Chińczyków, Tatarów, USB-eków, najlepiej trzymały się Litwinki, żadna z nich nie wyszła za mężczyznę innej narodowości, a szczególnie innej religii. Ogólnie biorąc Polki były zazbyt demokratyczne pod względem wyboru. Nie przebierały w rasie, patrzyły tylko, żeby dobrze zarabiał i miał jak najwięcej pieniędzy. Chodziło o stronę materialną. Wprawdzie w naszych okolicach było bardzo mało Polek, ale te, które były zdążyły już wyjść za mąż, to za Chińczyka kucharza, to za Rosjanina brygadzystę, to za USB-eka dziesiętnika, byle tylko miał popłatną funkcję i trochę więcej pieniędzy. Oprócz moich własnych spostrzeżeń, potwierdzili moi koledzy z innych okolic te niezbyt pochlebne opinie o naszych rodaczkach. Pamiętam spotkałem jedną Polkę w posiołku Zimowaje, wyszła za Estończyka, żonatego, właśnie teraz przypomniałem tam, za Estończyka, żonatego człowieka, który żonę i dzieci miał w kraju. Z nimi już miała dwoje małych dzieci. Ten jej wybranek był nałogowym pijakiem, mało inteligentny, ordynarny, znęcał się nad nią niesamowicie, bił i kopał, zerwał nad jej łóżkiem święte obrazki, które dostała od matki z domu i podeptał w jej oczach bezczelnie. Poza tym kategorycznie zabronił rozmawiać do dzieci po polsku, w rezultacie na interwencję

młodego Polaka Michała, który okresowo tam pracował i poznał dokładnie jej męczeńskie życie

[5-A, 00:15:00]

powołaliśmy sąd koleżeński składający się z kilku Polaków. Po dyskusji zapadła decyzja, że jeden z nas drogą losowania wyciągnie los, który zobowiąże do zaopiekowania się tą nieszczęśliwą osobą. Nawet jeżeli zaistnieje taka ewentualność, że trzeba będzie zabrać razem z dziećmi tą Polkę od ordynarnego Estończyka. Inni natomiast będą systematycznie pomagać dla nich materialnie i moralnie w wychowaniu dzieci. Według ustalonej kolejności ciągnąłem drugi i traf taki chciał, że wyciągnąłem kartkę z napisem Janka, bo jej było tak na imię. W najbliższą niedzielę wybrałem się pieszo do Zimowej w tej sprawie. Towarzyszyli mi dwaj Polacy, Michał i Stach Karpowicz. Jeden żyje, a drugi, ten Stach Karpowicz to był w Międzyzdrojach, wybudował sobie willę, odwiedziłem 2 lata temu i zmarł już w zeszłym roku. Przyszliśmy popołudniu. Janka z dziećmi była tylko sama, bo mąż jej zwykle pił sobie na humor u kolegów, swoich rodaków. Janka jeszcze raz potwierdziła opowiadanie Michała, że była maltretowana i bita przez męża. Przy odpowiadaniu cały czas płakała. Prosiła o naszą interwencję. Najgorzej, że wiązały ich dzieciaki, córeczka i syn. Jako główny kurator powierzonej mi misji miałem prawo wgłębić się szczegółowo w intymne ich życie małżeńskie. Spytałem co ich skojarzyło, czy uczucie, czy jej lekkomyślność, czy po prostu przypadek. Po drugim chciałem dowiedzieć się zapytanie na ewentualny rozwód i separację. Uspokoiła się i odpowiedziała stanowczo: *Cztery lata temu kiedy z obozu przywieźli nas tutaj byłem bardzo naiwną. On jej obecny mąż był pierwszym mężczyzną w życiu, który poważnie i agresywnie ją zaatakował. Czuli się osamotniona na dalekiej Syberii, czuli się bezradni. Rodaków Polaków nie było, więc cóż jej pozostało? Uległa i zgodziła się na wspólne życie. Obiecywał dla niej, że będzie dobry i że ją nie będzie zmuszał do pracy w lesie, że tylko będzie pełniła obowiązki domowe. Jeżeli chodzi o obecny stan to jest w każdej chwili zdecydowana zabrać dzieci i odejść od niego. Po wysłuchaniu jej spowiedzi życiowej powiedziałem: Trudno, już się stało. Postaramy się rozwiązać ten przykry problem. Zdecyduję się po rozmowie z jej mężem.* Posłała Michała po męża, przyszedł natychmiast trochę podchmielony, przywitał się z nami sztywno, usiadł cichutko w kącie i spoglądając na Jankę z ukosa zorientowałem się z pierwszego pozoru, że był to typ twardy, gburowaty i arogancki. Oznajmiłem dyplomatycznie cel naszej wizyty. Poprosiłem, żeby ze mną wyszedł, bo chcę z nim porozmawiać osobiście. Chwilę wahał się, potem wstał i powiedział: *haraszo. Idziemy.* Poszliśmy na brzeg rzeki, która płynęła niedaleko

ich domku. Zatrzymaliśmy się, zmierzyłem jego wzrokiem od stóp do głowy i powiedziałem stanowczym głosem: *Zabieramy Jankę z dziećmi. Że my jako Polacy nigdy nie pozwolimy, żeby naszą rodaczkę tak*

[5-A, 00:20:00]

traktowano. U nas w Polsce kobieta jest jako matka i żona stawiana, jeżeli w hierarchii rodzinnej na najwyższym szczeblu, ona zawsze ma decydujący głos w sprawie wychowania dzieci, przewodzenia gospodarstwem domowym i tak dalej. Jego traktowanie żony paskudnie nie ujdzie bezkarnie. Pomimo wszystkiego dostanie nauczkę na całe życie. Raz na zawsze odechce się mu wyczynów ordynarnych i niehumanitarnych. Nie myśl, powiedziałem, że jesteśmy na Syberii w krainie bezprawia i tolerancji. Polacy są stanowczo, potrafią konsekwentnie dopiąć swoich celów i praw. A teraz wrodzony mąż idziemy i pomóż swojej żonie by spakować rzeczy. Stał chwilę jak piorunem rażony, niezdeterminowany. Oczy iskrzyły się złością, chciał coś mówić, ale ze zdenerwowania nie mógł złapać się za kieszeń, w której tkwiła Finka. Błyskawicznie wyciągnąłem Finkę za nadrze i wykrzyknąłem rozkazującym głosem: *Idziemy póki jestem jeszcze zrównoważony. Opuścił rękę i przyciszonym błagalnym głosem zaczął mówić: Co wy wyobrażacie? Ja przecież kocham Jankę, kocham dzieci. Ją nie zabierzecie, a że czasem pod wpływem alkoholu byłem nietaktowny, może zrobiłem jej przykrość to normalna sprawa, w małżeństwie raz dobrze, raz źle, takie bywa życie. Uważam, powiedziałem, że czasem wszystko ustabilizuje. Powiedział: Wszystko ustabilizuje się i będziemy żyć przykładowo, a teraz idziemy do Janki, ona na pewno mi wszystko wybaczy. Dobrze, powiedziałem, ale jeżeli tak nastąpi proszę mi dać słowo, że już nigdy w życiu nie podniesiesz ręki na nią, że już nigdy nie będziesz wtrącał się w jej sprawy, w wychowanie dzieci, że już nigdy nie będziesz zabraniać dla niej wyznawać jej wiary jej ojców. Nie zabraniać uczyć dzieci pacierza i mowy polskiej. Przysięgnij jeszcze raz stanowczo. Dobrze, odpowiedział, przy niej to zrobię. Weszliśmy do domu, Janka i moje towarzysze siedzieli wystraszeni, mąż poszedł do Janki, ucałował ją w rękę, policzek i zaczął przeproszać, obiecał poprawę i prosił o przebaczenie. Odezwałem się: No cóż, Janka Tobie zostawiam decyzję, ale zaznaczam, żebyś potem decyzji nieprzemyślanej nie żałowała. Janka chwilę namyślała się, cicho wyszeptała przebaczam. Świetnie, powiedziałem, a teraz przysięgnij na honor swego narodu, że dotrzymasz słowa danego dla mnie tam nad rzeką. Podniósł 2 palce do góry, przysiągł. Janka podeszła do niego, ucałowała serdecznie, przyrzekła mu również wierność. Po raz drugi byłem ojcem duchownym, który łączył pary węzłem nierozzerwalnym. Wróciliśmy do domu późno, bo już po północy. Byłem zadowolony,*

że moja misja zakończyła się pomyślnie. W duszy jednak wątpiłem w ich regenerowane szczęście małżeńskie. Zbliża się zima, coraz smutno było na duszy. Nasuwają się refleksje i wspomnienia.

[5-A, 00:25:00]

Wstąpiło uczucie nostalgii i tęsknoty za czymś utraconym na zawsze. Pewną niedzielę wybraliśmy się z Władkiem do tajgi na borówki. Było masę. Ja dojrzała tajga była bogata w te wartościowe runo. Niektóre gospodynie zaopatrywały się całymi beczkami na zimę. Zalewały zwykłą wodą i w pewnej temperaturze przechowywały się świetnie przez długo okres. Tajga jesienią wyglądała ponuro i smutno. Dominowała ta bezgraniczna cisza połączona z ogromnym masywem leśnymi. Jeżeli człowiek znalazł się sam ta cisza po prostu przstraszała, wprowadzała niektórych w chwilowy obłęd, innych natomiast przy dłuższym obcowaniu w nieodwracalną melancholię. Ja zaś wyjątkowo czułem się błogo. Potrafiłem godzinami włączyć się, wałęsać się z dubeltówką na ramieniu albo z wędką na brzegu szumiącego, monotonnego strumyka. Siedzieć dłuższą chwilę i właśnie w takich momentach byłem sobą, czułem że żyję, że potrafię coś stworzyć wielkiego, nieznanego by uratować tą piękną przyrodę od zagłady żarłocznej ludzkości i cywilizacji. Z niechęcią wracałem do codziennego szarego życia. Pracowałem dalej w nocnej zmianie wożąc kłocę do elektrycznej piły. W początkach grudnia mrozy od razu zaczęły atakować, dochodziły do 40 stopni. Rzeka nasza pokryła się grubą powłoką, lodem i śniegiem padały obficie. Tajga przyodziła puchową, białą szatę. Musiałem działać intensywnie, zapobiegać u władz by objąć miejsce w styczniu na Wałakowej, ciągnęło mnie stale do tej samotni. W tej sprawie zwróciłem się do Agi Wasilewny, żony Janka Sławińskiego. Obiecała, że postara się załatwić tą sprawę pozytywnie, jednak los zgotował nam bardzo miłą niespodziankę, o której marzyliśmy kilka tysięcy nocy i dni naszego szarego i beznadziejnego życia. Pewnego poranku wróciłem z nocnej pracy bardzo zmęczony, wyczerpany. Pracowałem bardzo intensywnie, ponieważ chciałem zarobić więcej pieniędzy, aby na wszelką ewentualność zaopatrzyć się w niezbędne przedmioty i odzież, które będą mi potrzebne w mojej samotni. Nie jadłem nawet śniadania, które mi Staszka przyszykowała i od razu buchnąłem do łóżka. Nie spałem chyba więcej jak godzinę, naraz wpadł Józek i Władek z pracy i od progu jak na komendę huknęli: *Wiwat! Sto lat! Jedziemy do Polski!*

[00:00:00] Brancewicz_Józef_I-0139-5-B

JB: Początkowo myślałem, że to żart, że to koleżeński kawał, zerwałem się z łóżka, ale widząc ich iskrzące się oczy i radosne miny, uwierzyłem. Mówiąc szczerze już od pewnego czasu moja

wrażliwa natura intuicyjnie przeczuwała jakąś dużą zmianę w naszym życiu na lepsze. Iskra nadziei powrotu do kraju ciągle tkwiła w mojej wyobraźni. Załatwienie spraw związanych z moją pracą i przeprowadzka do samotni na Wałakowej traktowałem raczej marginesowo, ale na wszelką ewentualność to też w każdej chwili oczekiwałem tej wiadomości. Obecnie po błyskawicznym refleksie zdawało mi się, że ta wiadomość nie jest obca. Dawno już na nią czekaliśmy i dawno marzyliśmy o tym wysnionym dniu szczęścia polskich zesłańców. W rezultacie okazało się, że Józek Mackiewicz został wezwany do naczelnika milicji, który odczytał listę Polaków, kandydatów na wyjazd. Musieliśmy w przeciągu jednej doby załatwić wszystkie formalności, sprawy urzędowe, rozrachować się z instytucją, w której pracowaliśmy, spakować podręczne bagaże o wadze 10 kilogramów i odjechać na lotnisko do Siewierjenskiej, gdzie będą czekały samoloty. Było nas w Tei 11 Polaków. Błyskawicznie rozniosła się wieść po całym posiołku. Zaczęły się gorączkowo przyszykowania do wyjazdu. Niektórzy byli już jako tako zadomowieni, sprzedawali z biciem za bezcen swoje dobytki zostawiając tylko mały podróżny bagaż w niedużym kufreczku, pamiątka po obozie. Nasi towarzysze zesłani i innych narodowości w związku z tą wiadomością też ocknęli się z letargu. Dyskutowali między sobą na ten temat i snuli lepszą swoją przyszłość. Mówili, że skoro Polacy wyjeżdżają to może i dla nich zaświta jakiś promyk słońca. Postanowiliśmy z Władkiem pójść do Janka i Agi Wasilewnej, wzięliśmy ze sobą pół litra spirytusu. Józek i Staszka byli zajęci sprzedażą swego dobytku i przekazaniem domku. Na wiadomość, że Polacy wyjeżdżają w domu państwa Sławińskich zapanował nastrój poważny. Musieli przecież rozstać się. Janek też przyjął tę wiadomość z rezerwą, Aga przyszykowała zagryzkę z szynki wędzonej niedźwiedziej, usiedliśmy do stołu, całe towarzystwo milczało. Wreszcie po kilku kieliszkach gospodyni domu, Aga Wasilna, zabrała głos, powiedziała: *Sluchaj Janku, nie ma co się namyślać, skoro ojczyzna wzywa was, jedźcie. Ja zostaję, to przecież mnie nie puszczą teraz, a jeżeli twoje uczuci są stałe to tam postaraj się o wyzew i połączymy się na stałe.* Na zakończenie powiedziała, żeby spotkała, żeby ją spotkała taka sytuacja to by też pojechała bez niego. Decyzja zapadła, Janek jedzie, Aga zostaje. Zauważyłem jednak smutek w oczach Janka. Wyszliśmy trochę podchmieleni, zobaczyłem na krajobraz, który się roztaczał za osadą, zaśnieżona tajga, pobliskie góry, stałem zadumany. I mnie w tej chwili zdawało się, że one czują żal do nas, że my opuszczamy ich na zawsze. Jutro o 9 rano pożegnaliśmy ten zakątek Syberii, pożegnaliśmy szumiące potoki, pożegnaliśmy dziewicze lasy i ich

[5-B, 00:05:00]

i ich coś tam. Niedźwiedzie, głuszce, łosie rosochate, renifery i drogocenne sobole. Pożegnamy XVIII wiek i wrócimy do świata cywilizowanego XX wieku. Poszliśmy do biura. Sekretarz dyirekcji wydał nam książki pracy tylko na 2 lata, które przepracowaliśmy w ich instytucji, natomiast okres 10-letniego pobytu w obozie nie chciał nam uznać i nic nie pomagały nasze interwencje i prośby. Tłumaczył się, że to są zarządzenie władz odgórnych, widocznie chcieli zatrzeć ślad, że nas bezprawnie więzili, a nam skomplikować sprawy stażu pracy w Polsce. Punktualnie o godzinie 9 nazajutrz zebraliśmy się na placu przed biurem, podjechały zaprzężone kilka sań, zaczęliśmy się sadowić, brakowało tylko Janka, czekaliśmy 20 minut, wreszcie ujrzeliśmy jego sylwetkę, szedł jak skazaniec z czapką w rękę bez bagażu, milcząc usiadł obok mnie i sanie ruszyły. W czasie podróży milczeliśmy, Janek stale spoglądał w ciemną i głuchą tajgę. Widocznie było, że nie mógł się z nią rozstać, a jeszcze została Aga najdroższa, od której się oddalał coraz bardziej, a może i na zawsze. Wreszcie przemówił, moje psy, moje strzelby, kto wami się zaopiekuje, powiedziałem bez przekonania, że w Polsce będzie miał ładniejsze. Zauważyłem łzy w oczach Janka, mimo woli nasunęły się do mojej wyobraźni wspólnie z pobytu Wałakowej, miejsce mojej przyszłej pracy, mego odludzia, mojej samotni. Oddalam się od niej, oddalałem się od niej też coraz bardziej, na pewno na zawsze. I tak w milczeniu dojechaliliśmy do letniska. Na innych saniach było gwarno i wesoło. Na letnisku dowiedzieliśmy się, że już dzisiaj nie polecimy, ponieważ pogoda Nielotna, może jutro albo pojutrze. Janek zaprosił nas do bufetu, pił szklanką aż usnął na krześle. Władek natomiast miał świetny humor. Sypał kawałami, nucił legionowe szturmówki. Rano po śniadaniu oznajmiono nam, że dzisiaj też nie polecimy. Janka zastaliśmy w bufecie, zalewał wciąż swego mora. Wyszedłem z dworca i skierowałem się do fryzjera. Patrząc, o dziwo Aga Wasilna wysiada z sań. Przywitałem się uroczyście i powiedziałem: *Cieszymy się bardzo, może i pani leci do Polski?* Niestety, odpowiedziała: *Przywiozłam prowiant dla Janka na drogę, bo wczoraj był tak roztargniony, że wszystko zapomniał.* Nic dziwnego, objaśniłem po rusku, (nz) i rozstaliśmy się. U fryzjera było kolejka, zabawiłem się z półtorej godziny, Polacy golili swoje syberyjskie brody. Kiedy odświeżony stałem się młodzieńcem wpadł Władek jak bomba, wykrzyknął: *Kawalerze, lecimy.* Niespełna w 20 minut siedzieliśmy wszyscy w samolocie. To jakoś tu nie wszystko pisane. Żegnało nas liczne towarzystwo zaprzyjaźnionych kolegów, nieszczęście w tej liczbie Janka, o Jurgielewiczowa, ta wujenka. Ona też tam. Która mieszkała blisko, a że wyszła za mąż za Rosjanina miała obywatelstwo swojego męża, została wykreślona z rejestru Polaków. Żegnając płakała rzewnie, prosiła żeby o niej nie zapomnieć i wszcząć w kraju

starania o jej powrót. Wreszcie kadłub samolotu zaczął dygotać i ruszyliśmy w siną niebieską dal.

[5-B, 00:10:00]

Wśród nas nie było Janka, który nie mógł rozstać się ze swoją Agą i psami, i tajgą i w jej objęciu wrócił do swego zacisznego syberyjskiego domku zbudowanego własnoręcznie. Po pewnym czasie lotu wylądowaliśmy w Jenisiejsku, w historycznym górzysku miejsce zesłania Lenina, tu mieliśmy przesiąść się do innego samolotu, odlecieć do Krasnojarska. Znowu znaleźliśmy się na tym dworcu, lotnisku, gdzie przed paru laty startowaliśmy w nieznane ku gwiazdom i w kierunku bieguna północnego. Władek, aby uczcić tą chwilę zamówił po 100 gramów spirytusu i po kawałku bielegi, przy kieliszku gawędziliśmy o naszej przyszłości, wrażeniach jakie nastąpią przy spotkaniu z rodzinami, dowiedzieliśmy się również, że Polacy dalej o 11 w nocy, że polecimy dalej o 11 w nocy. Mieliśmy do odlotu jeszcze sporo czasu. Tu w Jenisiejsku dokooptowali do naszego towarzystwa kilku Polaków, którzy byli na zesłaniu w tym miejscu, między innymi Malinowskiego z żoną Marysią, byłego naszego (nz) z obozu, szpicla i... to taki Malinowski, on obecnie jest w Gdańsku, ale w obliczu wspólnego szczęścia i ogólnej radości z powodu powrotu do kraju byliśmy wszyscy wspaniałomyślni, przebaczyliśmy, nawet Władek zaprosił to małżeństwo na kieliszek spirytusu. Na marginesie wspomnę, że Władek trochę był zadurzony w Marysi, żonie Pawłowskiego, vel. Malinowskiego. Dyskusje i rozmowy przebiegały w atmosferze przyjacielskiej, wesołej. Wspólne chwile wpadł do bufetu urzędnik z letniska i zakomunikował, że za 10 minut odlatuje pasażerski samolot do Krasnojarska, są jeszcze 2 wolne miejsca za dopłatą 10 rubli za każde. Chętni mile widziani. Zacząłem rozmawiać, namawiać Władka, żebyśmy skorzystali z okazji i polecieeli kilka godzin wcześniej. Zawsze to bliżej Polski, powiedziałem i dalej tak przez ciebie znienawidzonej Syberii. Ale Władek uparł się, wywiązała się nawet mała kłótnia na zakończenie, żeby mnie jeszcze bardziej przekonać powiedział autorytatywnie: *Przeczuwam intuicyjnie, że właśnie ten samolot ulegnie katastrofie i wszyscy pasażerowie zginą. Nie możemy ryzykować.* Ja natomiast też uparłem się i chcąc zaimponować swoją odwagę powiedziałem właśnie: *Lubię ryzyko.* I bez słowa dopłaciłem w kasie 10 rubli i poleciałem. Kiedy byliśmy już w przestworzach wtedy nastąpiły refleksje, leciałem przecież sam, jeden z Polaków, inni pasażerowie byli całkiem obcy, a nuż słowo Władka sprawdzą, sobie pomyślałem, zginę wśród obcych. Toteż z trwogą ciągle patrzyłem na wskazówkę wysokomierza kiedy trofowaliśmy w pustkę wirową powietrza, trafialiśmy w pustkę wirową powietrza. Samolot nagle spadał w dół. Czułem niemiłe wrażenia,

ale po kilku godzinach stewardessa wyjaśniła, że zbliżamy się do lądowania i w rezultacie szczęśliwie samolot osiadł na lotnisku Krasjonarskim. Z dworca odjechałem autobusem na dworzec kolejowy, tu już czekał na nas cały specjalny pociąg sypialny do dyspozycji wyłącznie Polaków. Był już prawie wypełniony, pozostało kilka pojedynczych miejsc w niektórych przedziałach. Było gwarno od mowy polskiej. Zwieziono tu z całej rozległej Syberii Polaków, zesłańców politycznych. Ulokowałem się w przedostatnim wagonie na górnym pośłaniu. Obok był przedział żeński.

[5-B, 00:15:00]

Przywitał mnie w pierwszym rzędzie Żydek, Polak z Białegostoku o nazwisku Sokolnicki. Rzekomo były kapitalista polski. Był moim sąsiadem z dołu. Wyglądał śmiesznie w watowym, dobrze sfatygowanym ubraniu, ale był w świetnym humorze, cieszył się z powrotu do kraju jak dziecko. Wyciągnąłem z kufereczka ćwiarteczkę wódki i zaproponowałem na pierwszą znajomość po kieliszku. Wzniósł toast i szepnął mi na ucho: *Piekielne mocy zwojował*. Śmiałem się szczerze z jego wyjątku z naszej religijnej pieśni o zmartwychwstaniu Chrystusa i nie omieszkalem nadmienić, że przecież Pan nie wierzy w Chrystusa, ale on nie przejmował się i zaczął sypać kawały o Żydkach co jeszcze bardziej wydawało się komiczniejsze, bo były recytowane przez ich przedstawiciela. Potem pan Sokolnicki zanucił piosenkę naszą narodową „Jeszcze Polska nie zginęła”, wszyscy wstaliśmy na baczność, bo w tym czasie jeszcze dołączyło parę lokatorów z naszego wagonu. I z namaszczeniem odśpiewaliśmy pierwszą zwrotkę drogiego nam hymnu. Jeden AK-owiec, który był na zesłaniu w Naryczsku, a mieszkał obecnie w naszym wagonie, zaprezentował dla nas naszą koleżankę z sąsiedniego przedziału, panią Hankę, przystojną szatynkę na ogół miłą i sympatyczną, była ubrana bardzo skromnie, w kufajce sowieckiej, w gumowych butach, w jej oczach wyczytałem jakiś głęboki smutek i depresję. Powiedziałem: *Dlaczego pani smutna? Przecież jedziemy do wymarzonej ojczyzny. Chyba pani zostanie tu na Syberii, chyba Pani zostawiła tu na Syberii swoje serce i sympatię*. Myli się pan, odpowiedziała: *ja boję się przyszłości tam w kraju, życie nauczyło mnie pesymizmu, odebrało radość, tu właśnie zostawiłam swoje najpiękniejsze lata młodości, które odebrały mi wiarę w życie. Zmarnowałam bezpowrotnie lata w więzieniach syberyjskich i dlatego zaśpiewam wam dawną starą piosenkę naszych prababek z okresu rozbioru Polski*. Miała bardzo ładny głos, śpiewała z uczuciem, wszyscy spoważnieliśmy i słuchaliśmy z uwagą, a piosenka rozbrzmiewała się po całym wagonie „Schowaj mamó suknię, moje perły, wieniec z róż, piękne stroje, piękne szaty, to nie dla mnie już” i tak dalej. Na zakończenie zapamiętałem

słowa: „Kiedy do grobu Polska wstąpiła pozostał dla niej jedyny strój, czarna sukienka”. Hanka skończyła i zaczęła szlochać. Uspokajaliśmy ją jak mogliśmy, tą wrażliwą naturę i łezki jak groch sypały się po jej pięknej buzi. Smutny ten nastrój przerwał Władek, który ze swym kufereczkiem wpadł do naszego wagonu następnym samolotem. Wylądowały też bez przeszkód. Zobaczył mnie, zrobił niby zdziwioną minę, oświadczył że: *Ty żyjesz, przecież ten samolot musiał ulec katastrofie*. My zawsze z nim żartowaliśmy, biedak, dziewięćdziesiąt lat. Mamy zdjęcie, zaraz pokażę, ma już dziewięćdziesiąt pierwszy rok, a jeszcze żyje, a jednak nie uległ i będzie miał znowuż partnera do kłótni, odpowiedziałem. Przedstawiłem swego przyjaciela dla całego towarzystwa, podkreślając jego bohaterskie wyczyny na dalekiej północy w czasie polowań na białe niedźwiedzie. W naszym przedziale było jeszcze wolne miejsce, ale że Władek był czuły na płęć piękną zaczął więc węszyć, zwiedzać cały wagon i w rezultacie ulokował się w żeńskim przedziale. Tam poderwał sobie jakąś Warszawiankę i wsiąkł na zawsze. Wprawdzie w czasie podróży to nie wyszło, nie wyszedł na tym dobrze, bo musiał być przez grzeczność kamerdynerem pań. Na każdej stacji biegał z garnuszkiem po gorącą wodę na herbatę. Robił zakupy.

[5-B, 00:20:00]

Temu, owszem był chłopakiem na posyłki. Wreszcie na drugi dzień przed południem wezwano nas do biura. Kazali oddać dotychczasowe legitymacje, które mieliśmy przy sobie. Na nich były fotografie właściciela i podpis obowiązujący nasz, że nie możemy opuszczać danego rejonu, gdzie przebywaliśmy na zesłaniu. W zamian dali nam tylko numerki na skrawku papieru. Ja miałem tam, muszę znaleźć, do tej pory mam ten numerki. Tylko takie o i numer, i więcej nic. Legitymacja i tak z takimi dokumentami przyjechaliśmy do Polski. Potem naczelnik palnął krótką mówkę, powiedział że wracamy do kraju, że Polacy są naszymi przyjaciółmi, że nas niesłusznie trzymano tyle lat z winą za to, a winę za to ponosi Beria, ? (nz), że teraz będziemy wolni, że on przypuszcza, że nawet będziemy przyjaciółmi Rosjan. Potem kasjer wypłacił każdemu po 300 rubli kieszonkowych na drogę, przy tym zażartował: *Będziecie mieli na papierosy, bo całkowite utrzymanie ponosi rząd, po rosyjsku gasodarstwo na okres naszej podróży*. Widząc ten ironiczny uśmieszek na jego buzi nie wytrzymałem i powiedziałem: *A kto nam zwróci zdrowie i nerwy oraz zmarnowane karierę naszego życia, zmarnowaną młodość i tysiące nas wraca inwalidami, a tak w kraju mieliśmy reprezentować, rozpoczynać życie od nowa*. Może przerwiemy trochę? *Ja bym tu u was, zostawił tu u was wszystko co jest najcenniejsze w życiu ludzkim, nawet dorobek naszych ojców, który był ostoją również naszą.*

Zrobił masową minę i powiedział o tym: *Radzę po przyjacielsku nie rozmawiać na ten temat, bo możecie tylko sobie zaszkodzić i przypominam, że lepiej będzie dla was jeżeli będziecie trzymać język za zębami i o pobycie w Rosji wcale nikomu nie opowiadać, a sprawami finansowymi i waszą chorobą zajmie się wasz rząd. Dostaniecie pracę według waszych możliwości, kwalifikacji. Dadzą też rentę jeżeli będzie potrzeba. Wszystkie te sprawy zostały omówione z waszym prawnikiem, a teraz żegnam i życzę przyjemnej podróży.* Znając ich wszystkie sztuczki dyplomatyczne NKWD-owskie zamilkłem tak jak inni, bo to letnia praktyka nauczyła, że z nimi nie ma żartów, mogą w każdej chwili znaleźć powód, przyszyć artykuł przestępstwa politycznego i wsiąknę na zawsze w przededniu wyzwolenia. Poszliśmy do transportu jak baranki zaciskając mocno w garści numerek i 300 rubli zapłaty za 12-letni trud, ponieważ, więzienie, Syberię, koszmar gabinetów śledczych i szliśmy z przymusowym, przyjaźnią w sercu, z przyjaźnią do naszych oprawców Stalinów, Berii i innych naszych opiekunów. Szliśmy, ale nie wszyscy, tylko mocni, którzy przetrwali. Więcej niż połowa zostało w grobach na zawsze rozsianych po przeklętych, po przeklętym kontynencie sowieckiego raj, gdzie dominuje obłuda, fałsz i zakłamanie. Dla nich już nigdy nie zaszumią polskie łąny zbóż, już nigdy nie zaśpiewa polski skowronek, nie zakwitną pierwiosnki, sasanki, nie zaświergocą sikorki i szpaki. Leżą w masowych grobach przysypani ruską ziemią, ziemią twardą, potężną, niezwyciężoną, przesiąkniętą do czerwieni krwią ludzką. Kiedy już byliśmy w wagonach na swoich miejscach zaczęli do nas przychodzić pojedynczo oficerowie sztabowi NKWD z propozycją wymiany ich obligacji narodowych w banku na ruble, ponieważ wracaliśmy do kraju to mieliśmy prawo wymiany wszelkich wartościowych papierów jako pożyczek obligacji i temu podobne.

[5-B, 00:25:00]

Nadmieniam, że jako więźniowie, zesłańcy, takich papierów w ogóle nie posiadaliśmy, ale w zasadzie mieliśmy prawo wymiany. Toteż państwowi urzędnicy, którym przymusowo została ta pożyczka narzucona chcieli skorzystać ze sposobności i za pośrednictwem naszym jak najszybciej starali się pozbyć się i otrzymać czystą gotówkę. Za tą transakcję proponowali parę rubli. Kilka odważniejszych jednak znalazło się. Ja kategorycznie odmówiłem. Nie wierzyłem dla nich za grosz. Nazajutrz rano 11 grudnia 1955 roku nasz transport ruszył na zachód. Kolejną transsyberyjską przemierzając przestrzenie tysiące kilometrów azjatyckiej Rosji. Był to transport specjalny, tylko do naszej dyspozycji. Na większych stacjach zatrzymaliśmy się. Tam już czekano na nas z obiadem, śniadaniem i kolacją. Donoszono, a śniadanie i kolacje

donoszono do naszego pociągu. Oprócz nas 700 Polaków jechało, kilku opiekunów oficerów z NKWD z naczelnikiem transportu na czele. Według naszych obliczeń droga do Polski miała trwać 20 dni. Jeżeli będziemy jechać tak jak dotychczas tempem przyspieszonym. Mijaliśmy stacje i stacyjki, z okna wagonu obserwowaliśmy zaśnieżone krajobrazy Syberii, na stacjach jej mieszkańców, wszyscy byli do siebie podobni. W waciakach ubrani, w czapkach uszatkach, marcowe twarze jak woskowe maski porane zmarszczkami, zarostem, a niektórzy koło woźnicy w łapciach tradycyjnych. Na ich wyrazach twarzy były wryte piętno przeszłości, piętno cierpienia i nadludzkich przeżyć. Niektórzy podchodzili do naszego transportu i pytał i o wołoki, na rosyjskie walenki na sprzedaż. Sprzedawaliśmy wołoki i resztę swoich zbędnych watowych roboczych ubrań, za które tam na miejscu pracy zapłaciliśmy ratami, a przy ostatecznych rozliczeniach podliczano resztę za jeszcze niewypłacone. Przecież tam w Polsce nie będziemy chodzić w wołokach, niektórym kolegom udało się wymienić na wódkę toteż często w poszczególnych przedziałach organizowano przyjęcia towarzyskie, słysząc było wesołe gwary i śpiewy szlagierów i tang przedwojennych. Nasz Sokolnicki, sympatyczny Żydek, brał czynny udział w takiej imprezie. Sypał kawały i śpiewał legionowe piosenki. Stale podkreślał swój patriotyczny patriotyzm dobrego Polaka. Pewnego razu powiedział dla mnie: *Niech pan nie zraża się moim wyglądem oberwanego Żydka, ja kiedyś byłem człowiekiem, że cały Białystok mnie znał i poważał. I teraz kiedy wrócę do rodzinnego miasta nie zrezygnuję z ambicji. Jeszcze o mnie świat usłyszy. I do pana może dojdzie słuch o Sokolnickim. Teraz już zdobyłem tu w Rosji wyższe studia polityczne, narzucono, nauczono mnie żyć. Nie wyprowadzą mnie już w pole.*

[00:00:00] Brancewicz_Józef_I-0139-6-A

JB: To też często w poszczególnych przedziałach organizowaliśmy przyjęcie towarzyskie, słysząc było wesołe gwary i śpiewy szlagierów i tang przedwojennych. Nasz Sokolnicki, sympatyczny Żydek z Białegostoku brał czynny udział w takiej imprezie. Sypał kawały i śpiewał legionowe piosenki. Stale podkreślał swój patriotyzm dobrego Polaka. Pewnego razu powiedział do mnie: *Niech pan nie zraża się moim wyglądem oberwanego Żydka, ja kiedyś byłem człowiekiem, że cały Białystok mnie znał i poważał. I teraz kiedy wrócę do rodzinnego miasta nie zrezygnuję z ambicji. Jeszcze o mnie świat usłyszy. I do pana może będą słuchy o Sokolnickim dochodzić. Teraz już zdobyłem tu w Rosji wyższe studia polityczne, nauczono mnie żyć. Nie wyprowadzą mnie już w pole. Trzeba było nowoczesnym iść z prądem XX-wieku, trzymać rękę na pulsie, politykę świata różnonarodowych ustrojów. Dlaczego ja przykładowo*

*nie mogłem być dobrym i aktywnym komunistą, co to mnie szkodzi zmienić pozornie poglądy, zależnie od aury pogody, ja też potrafię głośno krzyczeć, głośno poklaskiwać, usłużnie kłaniać się dygnitarzom i pracować dla dobra proletariatu. Zobacz pan, dodał na zakończenie: że zrealizuję swoje zamierzenie. Zapomniał pan o jednym, dodałem: aby zrealizować się przed, zrehabilitować się przed władzami i żeby odzyskać autorytet musi pan przede wszystkim stać się ich agentem, szpiclem, swoich ziomków sprzedawać za miskę soczewicy swoich współtowarzyszy, iść po grobach i trupach do celu. Wspinać się po drabinie nikczemnej podłogi ludzkiej, a tego chyba pan nie potrafi, bo jak zauważyłem jest pan religijny i moralny. Niech pan już się o tym nie martwi, powiedział: a od czego mam tą dużą żydowską głowę? Trzeba tak żyć, żeby wilk był syty i koza była cała. Potem nagle złapał się za serce i cicho wyszeptał: W moim kufereczku są kropelki, może pan będzie uprzejmy mnie odmierzyć. Również w drodze często zapadał na serce, po kilku dniach takiej wędrówki nasz pociąg wtoczył się na stację Nowosybirsk. Zarządzono obiad. Na stacyjnych stołach były przyszykowane stoliki ładnie zesłane obrusem i zastosowano zastawione nakrycie na cztery osoby. Uwijały się przystojne kelnerki w czystych jak śnieg fartuszkach. Roznoszono zupeł i nawet dobre drugie danie z deserem. Nastrój zaczął się ożywiać. Kiedy na niektórych stolikach pokazały się butelczyny z masłowską wódką, wyciągnęli je z kieszeni nasi pasażerowie, zdobytej na podróźnej wymianie, gdzie z przeciwległego kąta, gdzieś z przeciwległego kąta ktoś grubym, męskim głosem zaintonował wiązanek legionową poczynając od słów: *Bracia do bitwy, nadszedł czas, trąbka do boju wzywa nas*. Cała sala podchwyciła i prawie z tysiąca piersi popłynęły rzewnej tęsknoty melodii, „Idzie żołnierz borem lasem”, aby znowuż zmienić się na skoczny Marsz Dąbrowskiego albo w ułańską piosenkę „Tam na błoni ? (nz)”, byliśmy pod wrażeniem tych piosenek, takich wspomnień, młodzińskich lat wojskowych. Zapomnieliśmy o wszystkim, o celu naszej podróży i miejscu pobytu, każdemu zdawało się, że jest młodzianem, że jest w mundurze, że jest w szeregu, że jest w plutonie czy szwadronie, że widzi swój oddział, że wie gdzie swój oddział do boju, do zwycięstwa w obronie swojej ojczyzny. Wiazanek legionowych przeszliśmy na piękne piosenki, melodie partyzanckie*

[6-A, 00:05:00]

rozpoczynają piosenkę „Rozszumiały się wierzby płaczące i inne”, cofnęliśmy się do walk z okupantem, wspomnieniami, znaleźliśmy się znowuż wśród odwiecznych i pięknych borach Wileńszczyzny nad Wilią, Wilejką, Niemnem, jeziorem Miadzią, Kobylnik, Świteż, tam budowaliśmy przyszlą Polskę. Każdy pragnął z bronią w ręku wywalczyć niepodległość,

wygnąć ze swych prastarych ziem wrogów i najeźdźców, okupić swą krwią wolność i przyszłość naszych pokoleń. Byliśmy pełni zapału, energii i patriotyzmu. Pałaliśmy zasobami nieprzebranych młodzieńczych sił, hartu woli i ducha i tu właśnie zaoralim w Nowosybirsku na ziemiach naszych prześladowców, pod wpływem tych niezapomnianych patriotycznych piosenek obudziły się w nas na nowo te szlachetne pobudki polskiego patriotyzmu. Niestety negatywny, megafony stacyjne przerwały nasze... minione wspomnienie. Gruby, tubowy głos oznajmił kategorycznie: *Zakończyć obiad, udać się natychmiast do pociągu, ponieważ polski transport odjeżdża z peronu 3*. Równocześnie z zapowiedzią zaczęli na salę restauracyjną wchodzić oficerowie wojsk NKWD, wchodzili bez przerwy, a w milczeniu stawali pod ścianą. Było ich kilkudziesięciu, wszyscy bez broni reprezentacyjnej, ale znowuż znalazł się jakiś entuzjasta i romantyk, dla odmiany zaintonował starą piosenkę sztubacką „Upływa szybko życie”, tej piosenki i ślicznej jej melodii dawno już nie słyszeliśmy, to też z kilkuset piersi dawnych sztubackich popłynęły jej tęskne rzewne melodie. Widziałem w oczach naszych widzów złowrogi błysk. Każdy z nich wsadził do ręki...

SS: Do kieszeni.

JB: Do prawej kieszeni płaszcza, widocznie tam mieli ukrytą broń, a megafony wciąż zapowiadały odejście naszego pociągu, wreszcie jakiś starszy pan z naszej paczki ocknął się z chwilowego uniesienia, pomyślał logicznie, powstał z miejsca i palnął krótko zwięzłą mowę: *Koledzy, wracamy do kraju, niepotrzebnie narażamy się na przykrości, może nawet na nieprzewidziane konsekwencje. Idziemy do pociągu. Musimy zastosować się do rozkładu kolejowego*. Wszyscy jak jeden mąż powstaliśmy i opuściliśmy dworzec nowosybirski. Pociąg jednak odjechał z półgodzinnym opóźnieniem. Dalej przemierzaliśmy azjatycką część Rosji przez Pomszk, Pietropławsk, Czelabińsk, Świerdłowsk do Uralu. Góry przejechaliśmy nocą i nareszcie znaleźliście się we własnej części świata, w Europie. Zdążając do stolicy Rosji, Moskwy. Do Moskwy przyjechaliśmy też nocą, przed przybyciem dostaliśmy zawiadomienie od naczelnika transportu, że nie ma prawa żaden z nas wychodzić z wagonu, ponieważ będzie bardzo krótki postój. Zastosowaliśmy się do zarządzenia, wiedzieliśmy wszyscy, że stolica, Moskwa, jest punktem neurologicznym, że na pewno nasz transport jest obstawiony, bo chociaż naczelnik z Krasnojarska powiedział, że od tej pory jesteśmy przyjaciółmi, widocznie to tylko były słowa propagandy, a aktualnie nam raczej wzajemnie sobie nie dowierzaliśmy. I wciąż w sercu byliśmy na ścieżce wrogiej. Jechaliśmy całą noc, dziwiło nas tylko, że zamiast na zachód, zdążaliśmy na południe. Przejechaliśmy Tułę i Kursk, w naszej wyobraźni zrodziły się pewne

wątpliwości, przecież u nich nigdy nic nie wiadomo, wszystko w tajemnicy, nigdy nie mówią prawdy, kto wie, może i teraz nas rozczarują i zawiozą znowuż nie do miejsca przeznaczenia albo i gorzej. Zdziwienie i obawa

[6-A, 00:10:00]

nasza wzrosła kiedy na 2 czy na 3 noc, już nie pamiętam, pociąg nasz zatrzymał się w Kijowie. Wśród nas nastąpiła konsternacja, zaczęliśmy snuć rozmaite przypuszczenia. Byli nawet tacy, którzy zamierzali fruwać z transportu. Poszliśmy do naszej generalicji, naczelnik transportu przekonywał nas, że z Kijowa pojedziemy do Lwowa, a tam już niedaleko granica. To nas uspokoiło. Tym razem przedstawiciel władzy rad nie skłamał, rzeczywiście dojechaliśmy do Lwowa. Też nocą. Dużo z nas prosiło naczelnika o zezwolenie chociaż na godzinkę by móc zwiedzić prastary nasz gród, naczelnik kategorycznie zabronił tłumacząc się, że za chwilę odjeżdżamy. W rezultacie przestaliśmy całą noc na stacji. Małym urozmaiceniem, bo od czasu do czasu pociąg nasz manewrował z jednego peronu na drugi, a dopiero o godzinie ósmej rano wjechał na właściwy tor i skierował się na zachód zdążając prosto do granicy i Przemyśla. Patrzyłem przez okno wagonu, widać było panoramę miasta, kilka wieżyczek zabytkowych kościółków i zarys góry zamkowej, tu przed 16 laty walczyłem w obronie tego kochanego, historycznego grodu. Tu rozegrała się tragedia dziejowa naszego narodu, tu rozpoczęła się moja długoletnia, cierniowa droga. Otoczeni ze wszech stron przez 2 potężnych wrogów żołnierz polski złożył swą broń i walecznych tysięcy opuszczało na zawsze mury zroszone krwią polskich bohaterów, legendarnych Batalionów Dzieci Lwowskich. Pociąg pędził szybko, lokomotywa ciężko dyszała wyrzucając z siebie kłęby czarnego dymu. Zbliżaliśmy się do granicy. Serce Polaków zaczęło mocniej bić, widziałem radosne twarze moich towarzyszy, ich iskrzące się oczy. Wszyscy byliśmy przy oknach zwróceni ku zachodowi. Kiedy myślę jak nas, każdy myślał jak nas przywitają rodacy i rodzina, co przyniesie nam przyszłość, przyszłość w rodzinnym kraju. Wreszcie zobaczyliśmy słupy graniczne, widniały z daleka, szczególnie druty kolczaste i wieżyczki strażnicze po sowieckiej stronie. Pociąg zatrzymał się, do wagonów weszli bajcyj straży granicznej, sprawdzili numerki, które każdy posiadał jako jedyny dowód osobisty. Przeprowadzili szczegółową rewizję bagażu i wyszli. Wysunęli się dyskretnie. Pociąg ruszył, przekroczyliśmy granicę, już byliśmy na polskiej ziemi. Pierwsza maleńka stacyjka graniczna polska, pierwszy raz pociąg zatrzymał się na polskiej ziemi, serca wracających Polaków zamarło na chwilę ogarnięte bezgranicznym uczucie szczęścia. Szczęście tułacza, który po kilkunastoletnim pobycie na obcej, niegościnnej ziemi wracał na ojczystą, wysnioną i

wymarzoną przez koszmarnych tysiące dni i nocy ziemię, jego praojców ziemię, o której pisali nasi poeci i wieszcz. Te uczucia nie dadzą się opisać, bo szczęście jest krótkotrwałe i szybko przemija. By je można było odzwierciedlić i utrwalić w swojej duszy na zawsze toteż tylko na marginesie wspomnę, że wielu z nas rzuciło się na ziemię by ucałować ją, ziemię ojczystą i zrosić łzami utęsknionego tułacza. Zobaczyliśmy pierwszy raz żołnierza polskiego straży granicznej, ujrzeliśmy orła białego na jego czapce. Orła, który kilkadziesiąt razy skrwawiał swe pióra w obronie jej niepodległości. Orła, który prowadził nasz patriotyczny naród do zwycięstwa, chwały i dumy narodowej, symbol naszej pięknej i nieskazitelnej Rzeczypospolitej. Niestety powitali nas sztywno i urzędowo. Zrobili pobieżną rewizję i opuścili pociąg. Nie wdając się w przyjacielską nawet rozmowę. Pierwsze rozczarowanie, nasunęły się

[6-A, 00:15:00]

do naszych wyobraźni smutne refleksje, zaczęły się mimo woli nasuwać obrazy przeszłości jak na ekranie telewizyjnym, skończyłem 43 lata, wracałem do kraju chory, stary, fizycznie i psychicznie, najpiękniejszy okres życia, młodość, a z nią energia, zapał, inicjatyw i perspektywy przyszłości zostały tam za żelazną kurtyną na mroźnych śniegach tajgi syberyjskiej. Zostały w koszmarnych celach więziennych albo w gabinetach śledczych. Tak wracamy do kraju, lecz nie jako bohaterzy by zaznać należytego wypoczynku wśród rodaków, by wyleczyć swe rany duszy, podupadłego zdrowia, nie witają nas transparenty i hymny narodowe, rodacy widzą w nas ludzi, widzą w nas ludzi wyeliminowanych ze społeczeństwa jako element podejrzany, a o pewnych aspiracjach politycznych. Podejrzanych o wrogość do potężnego, zaprzyjaźnionego państwa, państwa, w którym Polacy widzą swą przyszłość i ostoję swej egzystencji. Co za ironia losu, jaki dziwny zbieg wypadków politycznych, ludzie pełni zapału, poświęcenia, bezgranicznego patriotyzmu, którzy wszystko poświęcili dla ukochanej ojczyzny zostaliśmy jej wrogami w obliczu praw konwencjonalnych bloku komunistycznego. Wyczuliśmy, że rodacy będą od nas stronić, unikać, by nie narazić swojej nieskazitelnej opinii dobrego patrioty w oczach swych przełożonych i władz partyjnych. I tu w ziemi obiecanej zadano nam nowy sztylet w wiecznie cierpiące nasze serce, nowy gwóźdź przeszył naszą zbolełą duszę. Zdawało się, że tych ciosów już za wiele, że nasze zasoby nieprzebranej energii wyczerpały się definitywnie, że musi nastąpić krach w naszym życiu, że nie wytrzymamy psychicznie i załamiemy się decydując się na finał tragiczny, a jednak nie nastąpił, twarda, harda, zahartowana dusza Polaka zniosła zwycięsko ten ostatni dotkliwy, upokarzający cios. Postanowiliśmy żyć dalej i dalej kroczyć po cierniowej drodze, dalej dźwigać swój krzyż razem

z Chrystusem i cierpieć za kraj, ojczyznę i przeszłe i przyszłe pokolenia. Postanowiliśmy się wkręcić w wir życia szarocodziennego naszych rodaków zajmując ostatnie pozycje w hierarchii społecznej. Przejechaliśmy Przemyśl i zatrzymaliśmy się na podmiejskiej stacji, gdzie mieścił się w byłych koszarach punkt repatriacyjny. Nasza generacja sowiecka oficjalnie przekazała nas władzom polskim. Kiedy odjeżdżali taksówką bez pożegnania kilkunastu naszych młodych repatriantów rzucało obraźliwe słowa i pogróżki pod ich adresem. Szybko ulotnili się z minami wystraszonymi, było to 31 grudnia 1955 roku. Zbliżał się nowy rok na naszej ziemi niosąc nam nieznaną i tajemniczą przyszłość. Na punkcie repatriacyjnym rozpoczęły się formalności urzędowe, każdy otrzymał kartę repatriacyjną, darmowy bilet do miejsca przeznaczenia i 1500 złotych bezzwrotnej pożyczki. Werbowano nas do pracy, szczególnie polecano kopalnie i przedsiębiorstwa na ziemiach zachodnich. Kto zaś miał kontakt z rodziną mógł jechać do niej. Zdziwiło nas bardzo, że nie było komisji lekarskiej. Widocznie Polacy uważali, że ludzie, którzy przyjeżdżają z Rosji, z raję muszą być wszyscy zdrowi i nieśmiertelni. Wieczorem spotkała nas bardzo miła niespodzianka. Przyszykowano nam przyjęcie noworoczne z orkiestrą z Przemyśla. Przyjechały też panny z zakładów pracy. Bawiliśmy się do rana. Samopoczucie poprawiło się. Jeden mały uśmiech ze strony władz rozjaśnił nasze zasępione czoła. Powziąłem decyzję, że pojedę do rodziny, która obecnie mieszkała w Karpaczu. Tam rozpocznę nowy start życia. Na 3 dzień miałem już wszystkie dokumenty

[6-A, 00:20:00]

gotowe. Pożegnałem się z kolegami, Władek jeszcze jechał do Warszawy, Józek i Stasia do brata do Wrocławia, inni też przeważnie do rodzin, także stopniowo punkt repatriacyjny w Żurowicy koło Przemyśla przerzedzał się, zostali nieliczni, którzy w ogóle nie mieli rodzin albo stracili z rodziną kontakt. Jechałem całą noc do Jeleniej Góry. Byłem bardzo przemęczony. Postanowiłem zatrzymać się w hotelu i wyspać się po uciążliwej podróży. Ze stacji wysłałem telegram do brata, że jestem w Jeleniej i zasnąłem twardym snem. Z Przemyśla natomiast wysłałem telegram z życzeniami i pozdrowieniami do byłej mojej sympatii, pani Zosi, o której już wspominałem w swoich pamiętniku, a obecnie mieszkała w Białymstoku. Spałem bez przerwy cały dzień aż do godziny 8 wieczór. Zbudziło mnie kołatanie do drzwi, zerwałem się z łóżka na wpół przytomny. Otworzyłem i ujrzałem stojącego brata Mariana, rzuciliśmy się sobie w objęcia, to było spotkanie braci po długoletniej rozłące, na dole przy portierni powitał mnie szwagier Andrzej, który własną taksówką przyjechał. Załadowaliśmy się do wozu, a ja ze

swym kufereczkiem podróżnym, w którym miałem parę bielizny, ręcznik i przyrządy do golenia, cały majątek wracającego Sybiraka z bogatego i potężnego kraju, przedstawiciela klasy robotniczej, który kilkanaście lat butował komunizm na gigantycznych strojkach zawodach socjalistycznych. Teraz wracałem do kraju, aby od nowa rozpocząć budowę socjalizmu w młodym, zniszczonym przez pożogę wojenną kraju. Oprócz ekwipunku podróżnego miałem w kieszeni 1000 złotych i wszechstronną specjalizacją, łagienika sowieckiego, 43 lata na karku i krwawiący wrzód żołądka czy dwunastnicy. Dojechaliśmy do Karpacza, przygranicznej, wczasowej miejscowości. Zatrzymał nas patrol graniczny, sprawdził dokumenty, moje studiował dłużej, ostatecznie upewnił się, że jestem bliskim krewnym stałych mieszkańców i zezwolił na wjazd. W tym czasie wszyscy mieszkańcy pogranicznych miejscowości musieli mieć specjalne przepustki graniczne. Wóz zatrzymał się przy piętrowym murowanym budynku, gdzie mieszkały moje 2 siostry. Przed wejściem stała grupka ludzi, to byli krewni i znajomi sprzed laty. Wyskoczyłem z wozu, rzuciła mi się na szyję jakaś przystojna panna i zaczęła mnie całować. Okazało się, że to moja najmłodsza siostra, którą zostawiłem małą dziewczynką, obecnie mężatka i 2 dzieci. Wcale ją nie poznałem. Potem kolejno witałem się ze wszystkimi. Piękne, niezatarte wspomnienie, gdy człowiek uważany za zaginionego, zmartwychwstaje. Weszliśmy do środka, stół był bogato zastawiony, oprócz okazji mego powrotu w tym dniu obchodzono imieniny mojej starszej siostry Genowefy. Posypały się toasty i pytania obopólne. Do wczesnych godzin rannych trwało przyjęcie, było gwarno i wesoło. Pierwszy raz poczułem ciepłą atmosferę rodzinną, szczęście bezgraniczne, które zwykle w każdym życiu trwa bardzo krótko. Na drugi dzień zwiedziłem Karpacz, wprawdzie był w szacie zimowej, niemniej jednak wyglądał uroczo, szczególnie w dni niepogodne kiedy roztaczała się śliczna panorama szczytów Karkonoszy z dominującą Śnieżką. Czuć było majestatyczną władzę króla gór. Można było godzinami wpatrywać się w ich piękno, a usta i myśl mimowolnie rymowały piękną poezję na ich cześć. Nieraz dopiero wieczorem wracałem do domu, do swego pokoiku. Prezent brata Mariana na górce. To był okres piękny w moim życiu, bo raptem stałem się całkiem wolnym i jestem w kraju ojczystym

[6-A, 00:25:00]

i szum strumyków, który przepływa koło domku, sapanie lokomotywy, która każdego rana ciągnęła pod górę tylko 2 wagony, pozostało na zawsze w mojej wyobraźni jako wspomnienie rodzinne i miłe. Te pierwsze dni wolności w kraju wśród grona rodzinnego na zawsze pozostały głęboko wryte w sercu i teraz po tylu latach kiedy przebywam w tych okolicach budzą się w

mojej psychiczne na nowo, sprawiają mi dużą radość dla mojej zbolącej duszy, wspomnienie jakoby dziecinnych dni, jakoby po raz drugi w swoim życiu urodziłem się.